

TYGODNIK KOBIECY



CENA
50 GR.



Nr. 6.

**1 grudnia
1935 r.**

Oplata pocztowa uliczona ryczałtem



J. Saad.



J. Saad.



J. Saad.

BERET Z FILCU POPIELATE-
GO. MODEL FIRMY PATOU
BERET Z PLUSZU LUB FUT-
RA. MODEL FIRMY MARTHE
BERET Z CZARNEGO AKSA-
MITU. MODEL LUIGI DIAR.

TYGODNIK KOBIET

Redaktorka naczelna: WANDA DOBRZAŃSKA.

Wydawca: JANINA KULIGOWSKA.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Okólnik Nr. 11-a, tel. 666-35. KONTO P.K.O. 13.191.

Naczelną redaktorkę przyjmuje we wtorki i czwartki od 11-ej do 13-ej.

Sekretariat redakcji czynny codziennie od 11-ej do 14-ej.

Rok I Nr. 6.

1 grudnia 1935 r.

Życzenia Czytelniczek są dla nas rozkazem

Idąc po tej linii zmniejszyliśmy format Tygodnika Kobiety, który, jak należy wnioskować z korespondencji, był źródłem przeróżnych kłopotów: trudność czytania w podróży; niewygodna połączona z najmiłszym typem lektury „w pozycji leżącej”; zbyt małe szafy biblioteczne i półki, a jak głośzono żartobliwie zamałe mieszkania dla roczników Tygodnika Kobiety.

Dosyć, że „nasz” format, wzorowany na pismach zagranicznych nie zyskał sobie aprobaty.

Od czegoż są jednak przysłowiowe nożyce redaktorskie. Nieraz okrutne, nieraz usłużne, zawsze niezawodne, a jak w tym wypadku i lojalne. bo nie ośmieliły się jednak targnąć na zawartość numeru, dając go Paniom w żądanym, zmniejszonym formacie, ale za to w podwójnej objętości.

Pierwszy krok na drodze reform zrobiony. Czekamy teraz dalszych życzeń i uwag, tak cennych dla nas dowodów żywego Tygodnikiem Kobiety zainteresowania.

REDAKCJA.

NOWY SENS ZNANYCH SŁÓW

Z pojęciami bywa tak, jak ze sprzętami domowymi. Dopóki trwają na swoim miejscu, nie psując ogólnej harmonii nie zwraca się na nie uwagi. Nie widzi się ich poprostu, ale wystarczy żeby ktoś zrobił w tym małym światku jakieś przesunięcie — zmienił porządek, odrazu rzucają się w oczy, zawadzają, a w najlepszym razie — wprowadzają niepokój.

Ten niepokój niezawsze bywa ujemny. Wręcz przeciwnie! Czasem taka mała rewolucja domowa miewa zbawienne skutki. Przekonywujemy się, że właśnie ten mebel umieszczony był zupełnie nieodpowiednio, dziwimy się, żeśmy nie dostrzegły wartości tamtego, i t. d. Krótko mówiąc pozwalamy „dojść do głosu” rzeczom dotychczas niedostrzeganym. I głosu tego — słuchamy.

Tak właśnie stało się obecnie z budżetem.

Wyraz ten po tysiąc razy obijał się o nasze uszy i nawet czasami wychodził z naszych ust. Mówiliśmy: „mój budżet nie pozwala”, „w granicach mojego budżetu” i t. n. Wiedzieliśmy, że budżet to jest coś, w co wchodzi wydatki i dochody. I tyle.

Ale nagle, po przemówieniu Ministra Kwiatkowskiego w Sejmie, budżet nabrał wagi.

Dowiedzieliśmy się, że ten najważniejszy, państwowy, ma zachwianą równowagę. Że ta równowaga musi być zaraz, natychmiast, przywrócona. I że dla przywrócenia tej równowagi poczynione być mają radykalne posunięcia.

Obojętne słowo, obojętne określenie, poczęło nas niepokoić. Przypomnieliśmy sobie, że budżet to nie „coś, w co wchodzi wydatki i dochody”, ale, że jest to sporządzone według

planu, zestawienie wydatków i dochodów na pewien określony czas”.

Z budżetu państwa zwróciliśmy się do naszych, domowych. Zresztą może było inaczej. Może groza obciążenia pensji, czy powiększenia podatku dochodowego zwróciła naszą uwagę na budżet domowy, a domowy doprowadził go do państwowego. Wszystko jedno zresztą. Wystarczy, żeśmy się zainteresowały czemś, co dotychczas nas nie interesowało.

Zachwiana równowaga budżetu państwowego wywołana jest trwającym od sześciu lat kryzysem wszechświatowym. Jako państwo mniej od innych zasobne, mniej od innych zagospodarowane (wojna, trwająca o dwa lata dłużej, wyniszczenie przez zaborców i okupantów) dotkliwiej może odczuwamy skutki ogólnej depresji ekonomicznej, przez kilka lat łataliśmy niedobory budżetowe, rezerwami pie-

nieżnemi — pozostałością lepszych czasów — i pożyczkami zagranicznymi i wewnętrznymi. Oba te sposoby nie są jednak możliwe na dłuższy okres czasu. Największe rezerwy muszą się wyczerpać, a pożyczki spłacane przez kilkanaście lat przez państwo, obciążają następne pokolenia, które do niedoboru nie przyczyniły się, natomiast będą musiały nieść na swoich barkach jego skutki. Dlatego to państwo nie może całego niedoboru pokrywać wpływami z pożyczek. Pożyczki powinny iść tylko na trwałe inwestycje: budowę kolei, dróg, gmachów szkolnych i t. d.

Ponieważ jednak budżet musi być zrównoważony i to zrównoważony nie w granicach jednego pokolenia, ale odrazu, — rząd wybrał drogę zwiększenia dochodów stałych przez wprowadzenie podatku od dochodu. Dla nas praktycznie znaczy to zmniejszenie

dochodów, a więc naruszenie równowagi naszych domowych budżetów.

Do tego nie możemy dopuścić. Musimy i my zrobić „radykalne posunięcie dla utrzymania równowagi”.

O powiększenie dochodów bardzo trudno (myśl o dodatkowym zajęciu jest marzeniem ściętej głowy!), pozostaje nam tylko droga rozsądnych oszczędności.

Mówię „rozsądnych”, są bowiem rzeczy, na których oszczędzać nie wolno. Zdrowie. Nauka dzieci. Tak zwana „strawa duchowa” — książki i czasopisma, których się tak łatwo wyrzekamy, rozrywki kulturalne — to nie są pozycje, na których możemy robić operacje oszczędnościowe.

Ale jest całe mnóstwo innych, w których można coś niecoś obciąć. Chodzi o to, aby obcinać świadomie, po zastanowieniu, nie dezorganizując, nie krzywdząc siebie i innych.

Nie jest to rzecz łatwa.

Ale, że musi być wykonana, niech będzie wykonana dobrze.

Ze świadomością, z wzięciem pod uwagę skutków.

Dobra wola tworzy przecież cuda, a zmysł gospodarski kobiet — cuda te pomnaża.

Uporajmy się więc z tym budżetem, który nagle zaczął nas niepokoić. Dajmy mu w naszym życiu odpowiednie miejsce. Przestanie być zmorą, a że nie pójdzie w zupełne zapomnienie, tem lepiej.

Zofia Popławska.

Słowo „budżet” pochodzi z łacińskiego „bulga” — worek, przerobionego na francuskie „bouge” i „bougette”. Pierwszy raz wzięło go w znaczeniu obecnym we Francji w roku 1802.

Testament ideowy Stefana Żeromskiego

W epoce naszej przyspieszyło się tempo przemian wszelakich. Uczucia i myśli zbiorowe ulegają przeobrażeniom głębokim. Rewidujemy nasze pojęcia i upodobania, konfrontujemy je z rzeczywistością dzisiejszą. Obalamy racje dawne, utrwalamy nowe, badamy co z dziedzictwa przeszłości, choćby niedawnej, należy odrzucić, a co uznać za wartość żywą, przez prawa czasu nieosłabioną.

W dziesiątą rocznicę zgonu Stefana Żeromskiego zbliżamy się do świata Jego twórczości, by odpowiedzieć na pytanie, czy słowo Jego straciło na wielkości i sile?

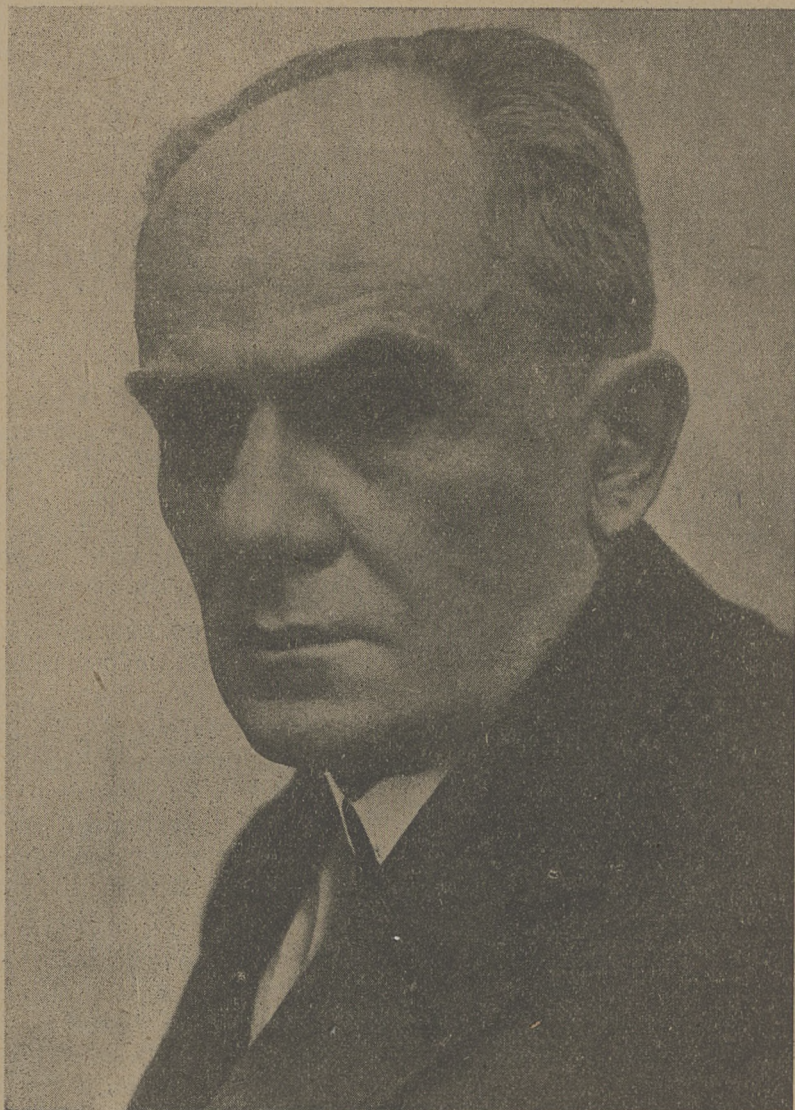
Nie straciło. Ani w obrazach życia, które na kartach swoich pism utrwalił, ani w płomiennych wołaniach i zaklęciach, które i dziś niepokoją serca i sumienia.

Nie zblednie nigdy słowo wielkiego artysty, płynące z moralnego bólu i z protestu przeciw niedolom człowieka.

Ukazał niedole i radości wszystkich warstw społecznych, niepokojące problematy epoki, jej troski, dążenia, ideały, jej klęski i zwycięstwa; zajmował się sprawami chłopów, robotników, mieszczanina, inteligenta, uczonego i artysty; zebrał najwymowniejsze dokumenty czasów, wszystkie skargi, tęsknoty, klątwy i błogosławieństwa. Chciał ujrzyć i przeniknąć wszystko: co dzieje się na widowni publicznej, a co niewidocznie, co na wielkich gościach, a co na małych drózkach i małych ścieżkach. Docierał do zakładów, zakamarków, wszędzie.

Od Judymów i od Olbromskich, poprzez wszystkie „sny o szpadzie”, aż do Rudomskich i Gajowców, od westchnień „ludzi bezdomnych” do

wielkiej nowiny o „wietrze od morza” — na całej drodze twórczości Żeromskiego działała nieustannie i z natężeniem coraz większym, idea Na-



prawy, przemiany, budowania nowego życia narodu. Przed zdobyciem niepodległości przemawiała idea ta w marzeniu o własnym państwie, we wspomnieniach o bohaterstwie dawnych czasów, o którym pamiętają „wierne rzeki” polskie i o którym mówią „echa leśne”.

Naczelnym Żeromskiego postulat i drogowskaz taki był: jakakolwiek będzie przyszłość narodu wolnego i cokolwiek zmieni się w ludziach, prawach i ustrojach, opoką zbiorowego życia będzie praca ludzi wolnych. Przeto w Polsce odrodzonej trzeba utsawić takiej pracy mnogie warsztaty, a Polaka uczynić robotnikiem, miłującym swoją rolę na wielkim społecznym pracownisku.

A któż ma prawo rządzenia i rozkazywania? Komu wolno zadawać przymus człowiekowi dla pożytku ludzi? Komu należy się posłuch wszelkiego pozbawiony szemrania?

„Kiedy — pisze Stefan Żeromski — wybucha epidemia szkarlatyny, tyfusu, ospy, cholery, wówczas rządy nad ludźmi obejmuje lekarz. Dyktuje nieodwołalne prawa, nakazuje i zakazuje. Kiedy ludzie postanawiają przebić tunel pod łańcuchem gór, ażeby w szybkim pociągu przebywać w kilkanaście minut do tego miejsca na dru-

giej stronie łańcucha, dokąd dawniej trzeba było, w najcięższym trudzie, w ciągu paru dni wędrować, wówczas inżynier obejmuje władzę nad rzeszami pracowników. Oficer trzymający rękę na motorze olbrzymiego pancernika jest samowładcą tysiąca istnień ludzkich, które zależą od dobrego lub złego ruchu jego dłoni.

Marja Curie-Skłodowska, wywodząca na tablicy, z równań matematyki wyższej, krzywą linię za pomocą fizycznego działania na świetliste ruchome radjum w szklanej cewce rozmaitemi potęgami siły elektrycznej, rządzi umysłami słuchaczy, na zasadzie posiadania odkrywczej swej wiedzy bardziej wszechwładnie, niż monarcha. Uczni, technicy, inżynierowie, chemicy, fizycy, lekarze, znawcy, specjaliści, działający jako odkrywcy, albo na podstawie wdrożenia nieomylnych wyników praw znalezionych, sprawują rządy wciąż i wszędzie”.

Oto prawa władzy — najwyższe, istotne. Oto instancja rozkazodawcza i przymus usprawiedliwiony. Praca z wyzysku wyzwolona i władzy światłego intelektu poddana, stworzy nową moralność społeczną: „Moralność, wytwarzająca się na pniu pracy i w jej granicach, będzie antytezą dzisiejszej i nie do pojęcia przez ludzi starego świata”.

Idealizm Stefana Żeromskiego pozbawiony był tego optymizmu, który w imię swej wiary, upiększa rzeczywistość fikcją i złudzeniem. Żeromski patrzył na życie szeroko otwartymi oczyma. Rzeczy złe, rzeczy straszne w człowieku, w społeczeństwie, badał z nieustraszoną pasją, „rozrywając rany polskie, żeby się nie zabiły błoną podłości”. Uderzał często w ton tragiczny, w ton najwyższej grozy. Był jednak równie potężny w swym entuzjazmie dla wszystkiego, co w człowieku piękne.

Nie, nie był „optymistą” w zwykłym tego słowa znaczeniu. Chciał dojrzeć wszystko zło świata, zwłaszcza zło, dziejące się w Polsce. Poto, żeby zrozumieć, żeby wiedzieć, jak odbywać się winno dzieło wielkiej naprawy. Idealizm Stefana Żeromskiego, nie płynący z optymistycznej oceny rzeczywistości, lecz zdający sobie sprawę zarówno ze wszystkich bezczeństw ludzkich, jak i z wielkiego trudu, jakiego będzie wymagała odmiana ku lepszemu, był idealizmem najwyższego gatunku: wytrzymał próbę cierpienia.

I to credo idealistyczne przekazał wielki pisarz pokoleniu nowemu.

J. W.

Okno na świat

PRASTARA „REWELACJA”

Jako bardzo sensacyjne uważane są wiadomości o roli kobiet abisyńskich w wojnie z Włochami. Jakaś tajemnicza księżna ukazuje się to tu, to tam ze swoim oddziałem, jakieś partyzantki walczą zaciekle przy boku swych mężów, liczne też wywiadowczynie przedzierają się przez front włoski i wracają z ważnymi wskazówkami.

Teraz — nowa wiadomość: w Addis Abebie tworzy się policja kobieca. Ma zastąpić policjantów, którzy uciekają na front.

Słowem: kobieta abisyńska otrzymała jakby awans społeczny: równie z mężczyzną prawo do ofiary i bohaterstwa w obronie ojczyzny. I stąd wniosek: widzicie, co potrafi kobieta. Otóż taki wniosek „rewelacyjny” można już było wysnuć przed... tysiącami lat. Wszędzie, w całym świecie niecywilizowanym, wśród wszystkich narodów, plemion i szczepów — w czasie wielkiego niebezpieczeństwa, czy to katastrofy żywiołowej, czy napaści wroga, kobiety były zrównane w prawach do ofiary i bohaterstwa, walczy-

ły, pracowały najciężej, w licznych zajęciach zastępowały mężczyzn. Nic tu nowego, jak również w tem, że wszędzie, w świecie niecywilizowanym, po ustaniu niebezpieczeństwa, kobieta wracała do roli niewolnicy swego pana i wszędzie też potem uważana była za istotę niższą, niezdolną do zadań, jakie potrafi spełniać mężczyzna...

Stara to historia. Front abisyńsko-włoski nie przynosi w tej dziedzinie rewelacji.

NIEDOBRY ZNAK.

Jedynym dziś państwem świata cywilizowanego, w którym kobieta została odsunięta od przysposobienia wojskowego, są Niemcy, państwo najciężiej przesyczone duchem militarystyki. Wynika to z obowiązującej w Niemczech ideologii, która głosi, że kobieta ma być tylko i wyłącznie strażniczką domowego ogniska. Nie może przekraczać granicy, jaka dzieli ją od zajęć mężczyzny.

Jakoś nie słysząc, żeby ograniczenie społecznych, narodowych i patriotycznych obowiązków kobiety nie-

mieckiej wpłynęło dodatnio na jej samopoczucie.

Czytamy w prasie niemieckiej, że statystyka samobójstw w Niemczech wykazuje w ciągu ostatnich dwóch lat znacznie wyższy odsetek zamachów samobójczych ze strony kobiet, niż wśród mężczyzn. Niemiecki Związek Kobiet postanowił pozakładać w szeregu miast specjalne poradnie dla kobiet, noszących się z myślą samobójczą. Wygłaszane są liczne na ten temat odczyty i pogadanki, ma być wyświetlany film propagandowy dla walki z samobójstwami wśród kobiet.

Naturalnie, środek to nieradykalny. Statystyki samobójstw różnią się w wielu krajach liczbami, ale pod jednym względem mówią wszędzie i wciąż to samo, mianowicie: największy odsetek samobójstw ma swe źródło w biedzie, w troskach materialnych, w nędzy. Ta pozycja — to wszędzie nie mniej, niż 75 — 80% w statystyce samobójstw.

KOBIETY W LITERATURZE.

Najpoważniejsze u nas wydawnictwo, w którym znajdują się rzeczo-

we oceny całorocznej naszej produkcji literatury, to „Rocznik Literacki”. W zeszycie ostatnim — obszerny przegląd poezji, powieści i utworów scenicznych za rok 1934-ty.

Jaki udział w tej produkcji biorą kobiety? Narazie ustalimy udział ilościowy.

W liryce na 94 pozycje z roku ubiegłego, wspomniane lub omówione, mamy tylko 11 autorek (O. Dauksztówna, N. Gajzlerowa, J. Gamska-Lempicka, R. Perlecka, J. Golcówna, J. Hoesick-Hendrichowa, K. Iłakowiczówna, S. Jaworska, H. Łazowertówna, M. Paruszevska, L. Urbanowska).

A więc — 11 autorek i 83 autorów. Niema więc w liryce naszej tej „inwazji” piór kobiecych, o której słyszy się tak często.

A w powieści? Na 113 piór męskich — 32 kobiece (K. Alberti, H. Anderska, I. Badowska, H. Boguszevska, H. Dąbrowska, M. Dąbrowska, W. Dobaczewska, Z. Dromlewiczowa, Pola Gojawiczyńska, W. Gilewska, H. Górska, M. Grabowska, Cz. Halicz, G. Jarecka, Z. Kossak-Szczucka, J. Korczakowska, I. Lutosławska, M. Łuczewska, W. Melcer, W. Miłaszewska, St. Olgierd, J. Pannenkowa, M. Samozwaniec, B. Steinowa, M. Szczepkowska, J. Surynowa-Wyczółkowska, W. Wasilewska, E. Szelburg-Zarembina, I. Zarzycka, J. Ziółkowska, M. Żurowska).

I w tej więc dziedzinie udział kobiet, choć znacznie większy, niż w liryce, nie jest tak „groźny”, jakby się wydawało.

W utworach scenicznych z roku 1934-go: autorów 21, autorek 4 (N. Drucka, A. Kallas, M. Jasnorzevska, M. Morozowicz-Szczepkowska).

TAM, GDZIE NAJCIEŻEJ...

W najnowszym zeszycie czasopisma „Sprawy Lekarskie” (organ Zjednoczenia Lekarzy w Warszawie) znajdujemy arcyciekawy artykuł dr. Janiny Węgrzynowskiej, p. t. „Higiena wsi”. Autorka badała życie kobiet wiejskich w różnych połaciach kraju i dzieli się z czytelnikami garścią smutnych, przygnębiających spostrzeżeń i wrażeń.

Wiemy, że dziś na wsi polskiej życie jest niewymownie ciężkie, ale nie zdajemy sobie dobrze sprawy, jak warunki obecne wpływają na stan psychiczny i fizyczny wiejskich rzesz kobiecych.

Parę cytat:

„Każda kobieta na wsi jest przeciążona pracą. W zakres jej czynności wchodzi gospodarstwo ściśle domowe, praca w ogrodzie warzywnym, pomoc mężowi w polu, no i najważniejsza praca: godne i sumienne spełnianie obowiązków matki. Praca ko-

biety to mrowcza praca, jednakowo intensywna o każdej porze roku, nie przerywana ani podczas okresów miesięcznych, ani podczas ciąży. Kobieta rodzi w przerwie pomiędzy jedną pracą, a drugą i prawie natychmiast po urodzeniu dziecka znów do niej się bierze, co wywołuje u niej objaw stałego przemęczenia. Kobiety same, 30-letnią uważają za starą, a 40-letnią za wiekową”.

„Schorzenia kobiece spotykane u kobiet na wsi, podzieliłam na 2 kategorie. Do I-ej zaliczam skrzywienia i opuszczenia narządów rodnych, do 2-giej sprawy zapalne, ogólne wyczerpanie i ostrą anemię. Wśród 65% kobiet, zbadanych przeze mnie, stwierdziłam powyższe dolegliwości (zbadalam około 3 000 kobiet).”

Przychodzi tu na myśl wstrząsający opis życia kobiety wiejskiej w głośnych już „Pamiętnikach chłopów” — w tej księdze, zawierającej tyle prawdziwie rewelacyjnych dokumentów naszych czasów. W pamiętniku nr. 3-ci (ogółem 51 pamiętników) — dzieje kobiety wiejskiej, chorej, walczącej ze wszystkimi przeciwnościami złego losu, szczerem, uczciwie. I takie oto zakończenie:

„Kończę ten swój opis, czyli pamiętnik i chciałabym, żeby trafił do serca ludziom, którzy odczuwają ciężkie życie, trudy i prace wiejskiej kobiety. Nie pragnę nagrody, tylko współczucia. Bo doprawdy niema chyba na świecie więcej zapomnianej i niedocenionej istoty, jak wieśniaczka, a najbardziej u nas, w Polsce. A przecież my wszystko składamy w ofierze ojczyźnie i społeczeństwu, a wzamian nie dostajemy nic. Wszystko, co napisałam, jest najszczerzą prawdą, a są to tylko wziątki, bo gdybym chciała napisać cały ogrom niedoli i nędzy, musiałabym pisać nie parę tygodni, ale parę lat i być uczoną. Nie dziwcie się, że są błędy i niedokładności, bo przecież jestem samoukiem, a pisałam to zmęczona całodzienną pracą, chorą ręką, często długo, w noc, gdy oczy ze zmęczenia kleiły się do snu i przy nikłym świetle przwkręconej naftowej lampki, a w dodatku pokrywom przed mężem, żeby się nie wyśmiał ze mnie, że bawię się w uczoną osobę.”

SŁUSZNE ROZRÓŻNIENIE.

Wciąż omawia się w prasie sprawę mężatek, pracujących w urzędach państwowych. Sprawa ta stoi u nas nieprawidłowo. W wielu urzędach załatwia się ją automatycznie, bez wnikania w sytuację i warunki danej pracownicy.

Rozumnie zagadnienie to ujęła p. Janina Prystorowa, posłanka ziemi wileńskiej. W artykule p. t. „Jeśli redukować, to jak i kogo”, p. Prystorowa rozróżnia następujące kategorie urzędniczek;

„Już dzisiaj przed szczegółowym zanalizowaniem tej sprawy, można stwierdzić, że akcja oszczędnościowa stanie wobec trzech różnych kategorii mężatek pracujących. Pierwszy typ będą stanowiły kobiety pracujące zarobkowo dla podniesienia tylko swej skali życiowej. Będą to żony zarobkujące po to, by mieć pieniądze na bardziej eleganckie ubieranie się, czy na rozrywki, na uniezależnienie się w swych wydatkach osobistych od męża. Zastosowanie zarządzeń oszczędnościowych do tej kategorii nie będzie miało napewno żadnego charakteru krzywdy społecznej.

Dodajmy tu od siebie, że ta kategoria kobiet jest już stosunkowo nieliczna. Ogromna większość pracuje, bo musi, bo walczy z biedą.

Dalej czytamy:

„Druga kategoria — to kobiety, których zarobek dopiero łącznie z zarobkiem męża stanowi minimum, niezbędne do istnienia rodziny. Tę sprawę minimum egzystencji należy brać poważnie pod uwagę, aby reforma oszczędnościowa nie dała w wyniku złych i szkodliwych efektów społecznych.

„Będzie wreszcie trzecia kategoria kobiet, które dzięki swemu wykształceniu i uzdolnieniu fachowemu są tak wartościowymi pracownicami, że usunięcie ich od pracy byłoby poprostu szkodą dla dobra służby”.

Słowem, akcja oszczędnościowa wtedy tylko może być uznana za słuszną i celową, kiedy odbywa się nie mechanicznie i uwzględnia położenie i kwalifikacje poszczególnych pracowników.

DLA ZDROWIA KOBIEC.

W uzupełnieniu przepisów, które mają na celu ochronę pracy kobiet, ukazało się rozporządzenie rozszerzające kategorie robót kobietom wzbronionych. Dotyczy to zwłaszcza pracy przy produktach trujących, jak: ołów, rtęć, benzol. W przemyśle drukarskim kobiety będą usunięte od styczności z ołowiem, a więc od prac zecerańskich, prac przy linotypach i t. d.

W spisie robót wzbronionych wprowadzono zakaz niektórych zajęć w czasie ciąży (praca przy promieniach Roentgen, praca o nożnym napedzie mechanicznym, dźwiganie ciężarów i t. d.).

Liczne statystyki oraz sprawozdania inspektorów pracy wykazują, że wielotysięczne rzesze naszych robotnic, to kobiety chore, których ciężkie dolegliwości zrodziły się wskutek niebezpiecznych dla zdrowia warunków pracy.

Nasze ustawodawstwo socjalne przedstawia się temu złu w zakresie coraz szerszym.

Obserwator.

„NIE JESTEM FEMINISTKA“.

Prawo kobiet do pracy stanowi dziś bezwzględnie zagadnienie najistotniejsze. Osiągnęłyśmy je jakoby, poprzez pełnię praw obywatelskich.

I cóż się okazuje? — Oto przychodzi kobietom, w chwili obecnej, z zawziętością bronić placówek, które od wagą i wysiłkiem swej inteligencji, wbrew wszelkim podmuchom złego losu, zdobyły.

Prawo do pracy równe mężczyźnie! Sprawa to, nad którą nie powinna przejść do porządku żadna kobieta godna tego imienia. Nawet jeśli dla siebie nie pragnie, czy żądać nie potrzebuje nic z tego, co dla tylu innych jest kwestją życia lub śmierci.

Kobieta zadawalniająca się wycieraniem nosów dzieciom i cerowaniem skarpetek, może już być bezwzględnie, aniołem stróżem ogniska domowego, ale gdy staje się współpracownicą męża, aktywną towarzyszką jego zajęć, wtedy pomoc jej jest bezcenna. Jakże często widzi się to w tak zwanym stanie średnim, u tych średnio-zamożnych kupców, gdzie kobieta jest, według zresztą ich własnej opinii, fundamentem zamożności rodziny.

Wpędzanie kobiety jedynie w „jarzmo małżeńskie” nawet jeśli to jarzmo uwite byłoby z czerwonych róż — (symbolu miłości) pod pretekstem, że niema dlań miejsca w biurze, fabryce, czy w polu, jest sprowadzeniem kobiety do roli maszyny, negowaniem tych wszystkich zalet, które po zaciekłych walkach, zdołała czarnym, obłudnym, przesądom przeciwstawić.

Często słyszymy słowa „Nie jestem feministką”. Chciałoby się wtedy zapytać osobę mówiącą, co właściwie przez to rozumie?

Feminizm, jako taki, się skończył. Dziś rozgrywka idzie o prawo do życia, do pracy, do kształcenia się człowieka, mniejsza o jego płeć. Niedolega w spodniach jest równą negacją życia jak niedolega w spódnicy.

Siłą rzeczy my, kobiety, broniąc placówki życia, bronimy placówki kobiecej, ale nie w imię kobiecości, a w imię człowieczeństwa. Mój sex appeal, to moja sprawa i ewentualnie mężczyzny, stojącego na drodze mego życia. Ale moje prawo do pracy, to ogniwo w łańcuchu możliwości całej społeczności kobiecej. Broniąc kobiet, bronię siebie i odwrotnie.

Te spośród nas, które lubią mówić, że nie są „feministkami”, zdają się rozumować kategoriami roślinnego życia. Podcinanie korzeni im i ich córkom zostawia je obojętnymi. Do kiedy? Pani byt jest zapewniony. — Ślicznie. — A jeśli córka zamaż nie wyjdzie? — W Polsce na stu mężczyzn mamy 107 kobiet. Łatwo obliczyć ile tysięcy kobiet nigdy nie wstąpi w błogosławiony stan małżeński. Co będą robiły córki tych nie feministek jeśli fortuna zawiedzie, a mąż równie ż? Te rzeczy się widuje dość często. Co będą jadły te kobiety, które się od pracy odsuwa, a mężów, na których utrzymaniu mogłyby być, zabraknie?

Pomijając wszystkie inne względy, wszystkie inne odpowiedzi, dziesięć i sto razy wołać będę: Co wart argument „Kobieta winna stać przy ognisku domowym”. — A jeśli niema tego ogniska? Ktoś mi ironicznie mówi: „Ten powrót do starych wartości jest jednym z mniej ciężkich przejawów kryzysu”. Nie wiedziałyśmy, że kryzys wyzwolił kobiety z konieczności zarabiania na życie!

Stefanja Jankowska.

TURON ŻEROMSKIEGO W TEATRZE ATENEUM

W jednym ze swych listów do pana Czarnockiego, konsula polskiego w Sztokholmie, Żeromski pisze:

„Nadto trzeba było tutaj przyjechać, ażeby bywać na próbach nowego dramatu p. t. Turon, który już za parę tygodni będzie wystawiony w Reducie. Jest to koniec przygód Krzysztofa Cedry i Rafała Olbromskiego. Rok 1846... Gra oczywiście Osterwa, Jaracz i inni najlepsi aktorzy”.

List ten pisany był 8 lutego 1923 roku. W 10 lat po śmierci Mistrza, Turon jest znowu grany, tym razem na scenie teatru Ateneum, i znowu gra Jaracz. Brak „innych, najlepszych aktorów”, brak przedewszystkiem Osterwy, który w tym samym czasie, występuje w teatrze Narodowym, w swej najpiękniejszej roli — docenta Przełęckiego w „Przepióreczce”.

Pomimo to, sztuka „bierze” niesłychanie, choć nie wszyscy aktorzy stoją na wysokości zadania, i choć Hubert Olbromski jest blady i afektowany. Ale jest za to niezrównany Jaracz, no i przedewszystkiem cudowny Żeromski.

Ostatnia, (niemal ostatnia, bo próby „Turonia” odbywały się w tym samym mniej więcej czasie, co próby „Przepióreczki”), sztuka Żeromskiego omija

tym razem konflikty psychiczne jednostki, a godzi ostrzem swej wnikliwości w bolesną i ropiejącą ranę: w uświadomienie narodowe i obywatelskie chłopu polskiego. Rzeź galicyjska, okazała się idealnym tłem dla uwypuklenia zasadniczych rysów ideologii Żeromskiego. Nie jest ona jednolitą, a właściwie autor nie pokazał nam jej w stanie gotowym, lecz przez trzy akty wytyczył drogę, jaką do niej doszedł. Tę metodę poddyktowało zapewne Żeromskiemu poczucie sprawiedliwości: nie chciał być bezwzględny, pragnął przedewszystkiem zapamiętać nad swymi subiektywnymi sympatjami, czy antypatjami, chciał skontrolować bezbłędną działalność swojego sądu. I dlatego I akt jest oskarżeniem szlachty. Nie ratuje jej opinii bohaterstwo garstki szlachetnych: zarzuty ciężkie, jak kamienie młyńskie, spadają na głowy panów, i nie może ich obronić przed ponurą nazwą ciemnych. Oskarżycielem jest krwawy Gzela — z bólem musimy przyznać, że nie kłamie!

Drugi akt Turonia natomiast jest oskarżeniem chłopstwa. Zwierzęcość, chytrość, chciwość władzy i pieniędzy, płaszczenie się przed silniejszymi — oto świszczące razy, jakich nie szczę-

dzi sumieniom chłopów polskich, Żeromski. I znowu trzeba zawołać, że ma rację!

A jednak... Jednak postać austriackiego generała (świetnie podpatrzone i zagrane), znowu wskazywałaby na to, że metody c. k. rządu galicyjskiego ponoszą tu przedewszystkiem odpowiedzialność. Ciemnota — to jest wielkie słowo, które krzyczy Żeromski poprzez wszystkie swoje powieści i sztuki. Szlachta zapóźno zwróciła się do chłopu z dobrym słowem, chociaż, kto wie, czy to słowo trafiłoby do ciemnych mózgów.

Trzeci akt jest drogą wyjścia z tego labiryntu myślowego. Słowa Stacha Chudego — nie wszyscy chłopci są tacy — to już rehabilitacja.

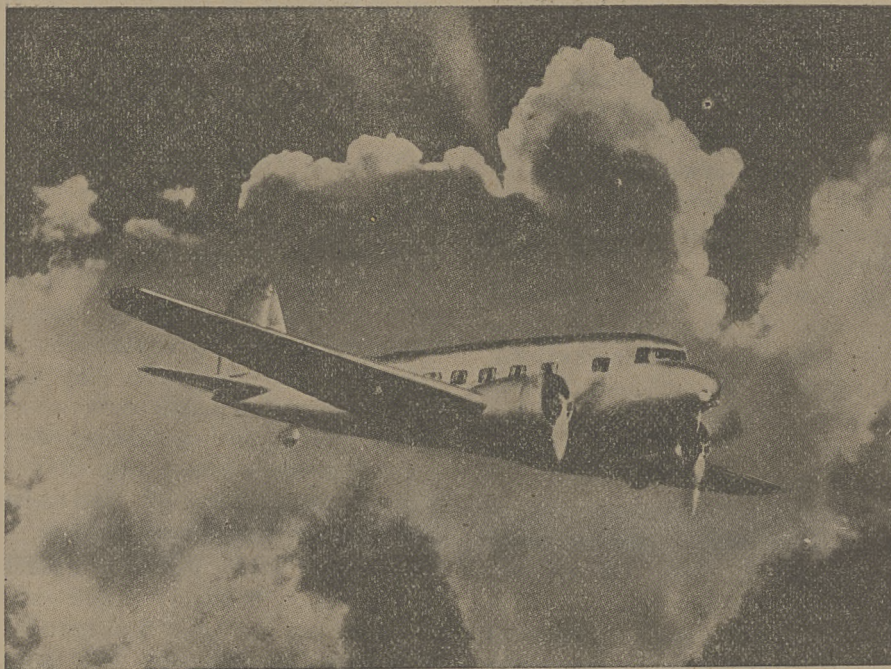
Chłop zwyciężył w sobie zwierza — Turonia — pan — podał mu może naprawdę serdeczną dłoń w chwili niebezpieczeństwa Ojczyzny. Coś, jak Psalm Dobrej Woli — Kraszińskiego. A jednak po wyjściu z teatru powstaje osad w duszy, że rehabilitacja chłopu była mocniejsza i serdeczniejsza. Widmo krwawego Gzeli rozwiewa się. Widmo dumnego pana trwa. Czyż to chciał powiedzieć Żeromski?

Zofja Miszewska.

Świat z wysoka

Wiele mówi się i pisze o roli wynalazków technicznych w życiu współczesnego człowieka. Jedni buntują się przeciw „maszynizmowi”, inni znów go apoteozują, wmawiając w siebie, że kult dla techniki czyni nas prawdziwymi dziećmi wieku. A jednak jest w tem dużo snobizmu i błagi. Wiele nprz. znamy takich pań, które obraziłyby się, gdyby je posadzono o to, że nigdy nie słyszały radja, ale nie potrafią w należyty sposób korzystać z własnej łazienki, używając jej do... przechowywania produktów. Bywają i takie osoby, które wstydzą się jechać dorożką, a nie taksówką, ale nigdyby nie wsiadły do samolotu, bo to jest dobre dla „specjalistów”. Według nich lotnicy istnieją po to, ażeby się w nich kochać (aktorzy filmowi już się trochę znudzili), a lotnictwo — chyba po to, ażeby, od czasu do czasu, podziwiać akrobatykę lotniczą na „meetingach” lub w... kinie.

Z tem, że samolot może odgrywać jakąś rolę w życiu codziennem, niektórym osobom trudno się jakoś pogodzić. Kiedy oświadczyłam znajomym w Krakowie, że właśnie przeleciałam z Warszawy samolotem, jedni dziwili się, jakgdyby to było bohaterstwem, inni z lękiem dopytywali się, jak tam było z temi „dziurami w powietrzu”, a jeszcze inni wyrażali przypuszczenie, że chyba musiało mi bardzo zależeć na czasie.



Nie popsło mi to jednak cudownej świadomości, że wymijam chmury....

Nikt nie wpadł na najprostszą myśl, że odbyłam lot dla przyjemności, po prostu — dla zaznania nowych wrażeń.

Śmieszne może jest mówienie o „wrażeniach” pasażerki i to „krótkodystansowej”, skoro komunikacja lotnicza istnieje u nas już lat 12 i, dzięki swej znakomitej sprawności i stuprocentowemu bezpieczeństwu, powinna być tak popularna, jak tram-

waj Warszawa — Grodzisk. A jednak istnieje w Polsce tysiące ludzi, którzy nietylko wrażeń tych nie zaznali, ale co dziwniejsze, — wcale nie są ich ciekawi, chociaż uważają się za bardzo nowoczesnych i ze śmiechem mówią o pierwszych pasażerach kolei żelaznej, obawiających się, że tak szybki ruch może szkodzić zdrowiu.

— A zresztą, dziś nie ma „nowych wrażeń” — stwierdziła jedna z moich przyjaciółek. Wszystko jest opisane, „zreportażowane” pokazane w kinie. Gdzież tu może być mowa o świeżości, o bezpośredniości wrażeń? Czy zanim po raz pierwszy wsiadłś do samolotu, nie czytałaś tysiąc razy o tem, że „zgóry zabudowania wyglądają, jak domki z kart, rzeki — jak srebrne nitki, pasące się stada — jak dziecinne zabawki i t. d.”? Jest to szemat, poprzez który każą ci patrzeć, jak przez okulary, przez które wszyscy widzą to samo. Czy nie widziałś w kinie zdjęć z samolotu, zrobionych pod takim kątem, że miałaś wrażenie, iż to ty siedzisz obok pilota i lataśz np. nad Chicago?

— Słusznie. Nieraz patrzymy na różne zjawiska dla siebie nowe, poprzez literaturę, sztukę, kino. Ale taki sposób patrzenia może nam narzucić tylko wielki artysta. Znam osobę, która dopiero mając lat 20, znalazła się po raz pierwszy w zimie w górach. Na widok niebieskich i fiole-



Ktoż mówi, że taki „szybki” ruch szkodzi zdrowiu?

towych odcieni śniegów w słońcu, zawołała: „Ależ to Fałat!” Nie zna- czy to jednak, że nie doznała silne- go wrażenia, patrząc na piękno zim- wego, górskiego krajobrazu; popro- stu tylko Fałat jej to piękno odkrył, zanim poznała je w naturze.

Natomiast szablonowy opis wido- ku z samolotu nie jest w stanie zmie- nić naszego indywidualnego sposobu ujmowania zjawisk. Osobiście nie mó- głam skonstatować trafności ani jed- nego z wymienionych przez siebie po- równań, bo lecieliśmy dość nisko, wobec czego wszystko na ziemi zachowało mniej więcej swe zwykłe proporcje — i domy, wody i krowy, oglądane z wysoka, nie budziły we mnie żadnej wątpliwości co do swej tożsamości.

Nie popsło mi to jednak cudownej świadomości, że oderwałam się od ziemi, że jestem w nieznanym sobie żywiole, że wymijam chmury, że lecę ku słońcu, że nagle zmienia się cała moja psychika. Nie boję się „dziur”, nie boję się skrętów. Przeciwnie, cie- szę się, gdy spokojny lot, niby po ja- kimś wysokim torze napowietrznej kolejki, zmienia się na chwilę, — gdy ziemia nagle wyrasta przed oknem, jak zielona ściana, na której niby ka- pelusze na kołkach, powieszone są domki i zagrody, a strzeliste topole, jak wielkie, wskazujące palce, skiero- wane są wprost na wystraszone twa- rze pasażerów. Może tu właśnie od-

najduję „kształcącą” rolę kina, które przyzwyczało mnie do oglądania świata pod różnymi kątami wi- dzenia. Dlatego i ten kąt mnie nie przeraża, ani za- dziwia. Ale, mimo to, no- wość wrażenia jest nieza- przeczona, niezwykła, cu- downa...

W przeciągu pół godzi- ny, jestem w sercu czarnej ulewy i blasku tęczy, dzie- ki temu, że część widno- kręgu jest zachmurzona, inna zaś wolna od chmur, widzę nadzwyczajną grę barw i światła nad wyżyną małopolską — widoki, któ- re można obserwować tyl- ko z górskich szczytów. Jest mi dziwnie lekko, we- soło, wierzę znów w pię- kno świata i piękno — czło- wieka. Chciałabym, aby ten lot trwał jaknajdłużej. Ale, cóż? To nie jest lot w „nieznane”, lecz zwykła pasażerska trasa, ściśle według rozkładu. Punktu- alnie, co do sekundy, łą- duję na lotnisku krakow- skiem, w kwadrans póź- niej jestem już na Rynku, a w pół godziny później, stojąc w oknie, żegnam „mój” samolot, który z moimi współtowarzyszami podróży, leci w dalszą drogę. Zadzieram głowę i odprowadzam go zachwyconym wzrokiem, dopóki nie zniknie mi z oczu, nie zapadnie w błękit nieba.

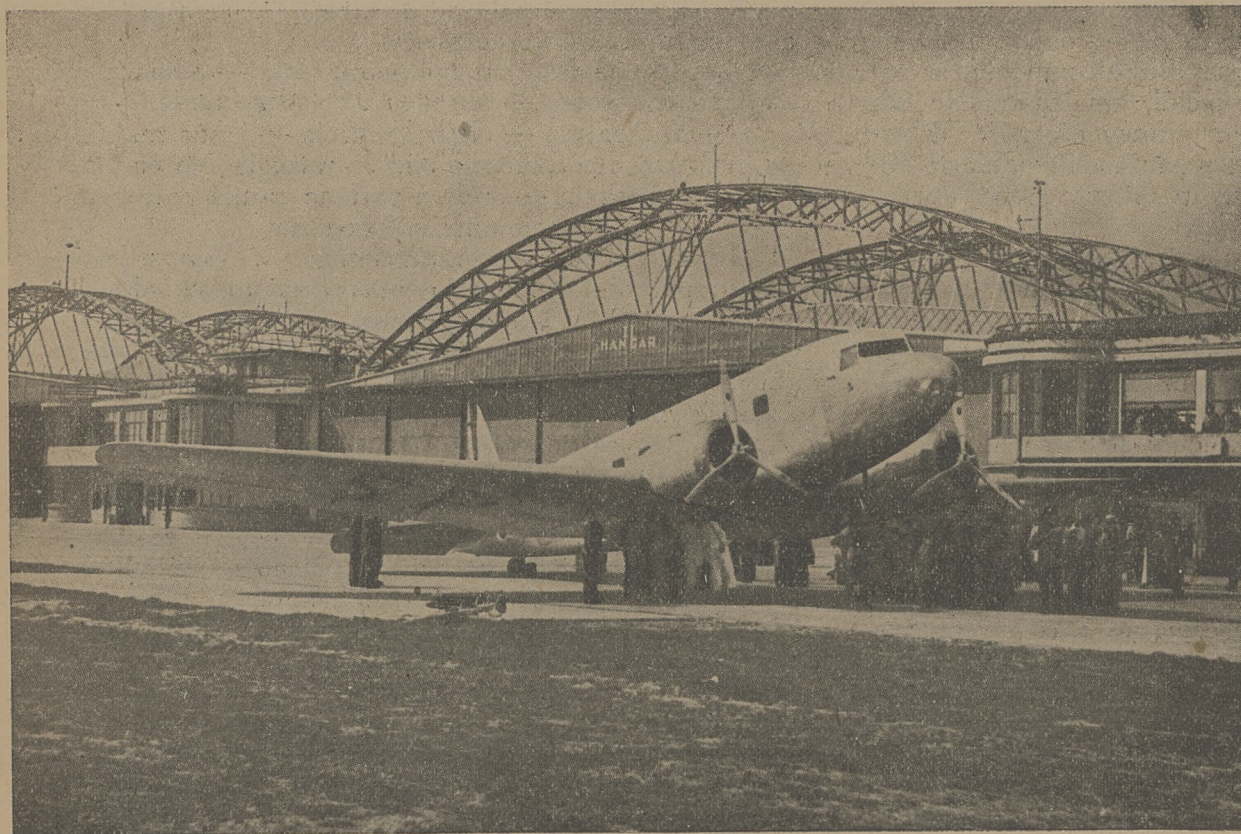


Z góry zabudowania wyglądają, jak domki z kart.

I żał mi się robi, że jeszcze za ja- kiś czas cud latania stanie się czymś powszednim, że będziemy z niego korzystać tak, jak dziś korzystamy z elektryczności, z telefonu, z radja, nie zastanawiając się nad tem, wiele, w każ- dym z tych wynalazków tkwi dążeń, walk i zwy- cięstw ludzkiej myśli.

A jednocześnie żał mi tych, którzy tak uparcie trzymają się ziemnych dróg, którzy nie chcą wie- dzieć, jaki jest świat, oglą- dany z wysoka, a furkot samolotu nie budzi w nich żadnych tęsknot.

A może takich ludzi wcale nie ma! Niechaj tyl- ko „Lot” zaryzykuje urzą- dzenie tanich wycieczek nakształt pociągów „dan- cing - bridge”, na przykład „niebo — przestwór — świat z wysoka” — a oka- że się, być może, że nie- tylko przy pomocy bridża i dancingu można obudzić w ludziach chęć poznawa- nia własnej ziemi i włas- nego... nieba.



Lotnisko pasażerskie na Okęciu.

Stefanja Heymanowa.

William Locke

Wzrurpator

Przekład autoryzowany
Ludwiki Ciechanowieckiej
Powieść

Mężczyźni, których nie można było ściągnąć na fajf, odwiedzali Alicję, nie czekając na zaproszenie. Bywało u niej mnóstwo osób, nikogo jednakże nie wyróżniała, wszystkich darzyła zdawkowym uśmiechem. Nie zdarzyło się nigdy, aby ktoś odszedł od niej, odtrącony brutalnie, aby ktoś uciekł — w głąb Afryki, lub na biegun, w nadziei, że uleczy rany serca, pastwiąc się nad nosorożcami i niedźwiedziami. Znajomi nieraz zapytywali ją, czy ma odpowiednie partje, lecz otrzymywali zawsze sakramentalną odpowiedź — „oczywiście, że mam”. W każdym razie było o czym plotkować. Lata mijały. Jeżeli Alicja trwać ma nadal w celibacie, świat o niej wreszcie zapomni. Osoby życzliwe poprostu żądały od Alicji, żeby wyszła za mąż. Samotna kobieta nie może sobie przecież dać rady w życiu... Ludzie patrzyli przez palce, na jej znajomości z osobnikami, których w innych warunkach nie wpuszczonoby na próg domu. Opinia uważała Alicję za nieszkodliwą, uczciwie się prowadzącą wolnomyslicielką, do której nikt nie ma prawa się wtrącać. Alicja posiadała przepustkę, która pozwalała jej zwiedzać wszelkie zakamarki życia, nie wywołując skandalu. Duma była z tej przepustki i korzystała z niej skwapliwie.

— Alicjo — zwróciła się do niej lady Luxmore — zobaczysz, że on się w tobie zakocha.

— Cóż to za „on” — ciociu? — zapytała Alicja z uśmiechem. Siedziała przy biurku z piórem w ręku i pisała listy do przyjaciół, zawiadamiając ich o swym powrocie. Był listopadowy wieczór. W zacisznym buduarze tańczył na ścianach odbłask kominka, a niska lampa sączyła przez różowy abażur łagodne światło.

— Jasper Vellacot — odrzekła ciotka — przecież tylko co zapytywałeś mnie, czy jest w Londynie.

— Tylko co? Dwadzieścia minut temu. Ciocia widocznie spała. Zdążyłam już zapomnieć o Vellacot.

— A jednak on się w tobie zakocha — upierała się ciotka — zapamiętaj moje słowa.

— Ciociu Febe — zawołała Alicja — to tylko cioci się tak zdaje. Słuchając ciebie możnaby dojść do wniosku, że jestem najbardziej obleganą, przez adoratorów, kobietą w Londynie. Kocha się we mnie Bunny, kocha się Mainwering, a teraz przyszła kolej na Jaspiera Vellacota.

— Przekonasz się — wycedziła sędziwa dama.

— Jeśli chodzi o Vellacota, to ciocia się myli.

Potraktował mnie bezceremonialnie. Uciekł z Aix, bez pożegnania, później napisał dwie lodowate karteczki, w odpowiedzi na moje listy. Raz mu napisałam, że chcę mu pomóc w pracy, naco odpisał, że da sobie radę bez niczyjej pomocy, drugi raz złożyłam

mu życzenia spowodu wyboru do izby gmin. Pisząc do niego dzisiaj daję dowód niesłychanej wyrozumiałości. No oczywiście — że on mnie lubi — dodała po chwili, jakby w odpowiedzi, na niemy protest ciotki Febe — ale ta jego życzliwość jest jakaś taka platoniczna, wzniosła, górnolotna. Ręczę cioci, że on naprawdę kocha jedynie swoje szpitale, przytułki i fabryki. One to wypełniają jego serce. Czy wolno mi być szczerą. Vellacot jest pocziwym panem, dla którego można żywić bezgraniczną przyjaźń, robi na mnie wrażenie nieśmiałego, starego dziecka. To nie jest mężczyzna.

— No to się mylisz, moja droga — oburzyła się lady Luxmore — Vellacot nie jest dzieckiem. — Rzekłszy to, zaczęła z pasją wymachiwać drutami, na których robiła z błyskawiczną szybkością węliną pończochę.

— Właśnie że jest dzieckiem — powtórzyła Alicja — widywałam go bardzo często, w Aix. Niech ciocia o tem nie zapomina. Przyznaję, że jest sprytny i obrotny jako businessman, ale to niczego nie dowodzi. Jego stosunek do życia i ludzi świadczy o tem, że pozostał nieśmiałym dzieckiem. Pomimo że jest krezusem wzbudza współczucie. Proszę sobie wyobrazić, że mnie kiedyś zapytał, jak się nazywa zielony płyn, który ludzie sączą przez słomki; nigdy nie słyszał o „creme de menthe”. Drobiazg — a rzuca charakterystyczne światło.

— A więc dam mu spokój, narazie — odezwała się lady Luxmore — nie myśl że go krytykuję.

— Nie wątpię — odparła Alicja — jakże można go krytykować. Czyż nie oddaje wszystkiego co ma biednym. Zresztą — dodała patrząc na ciotkę przez ramię — jest przecież moim kuzynem.

Była o tem święcie przekonana. Wprawdzie Jasper unikał tego tematu, przypisywało to jednak jego nieśmiałości i kompleksowi dziecięcej tragedji. Przyznał się jej przecież, że matka jego odbyła poród w okropnych warunkach, w obozowisku australijskich górników. Żyła jeszcze trzy godziny. Jasper tyle tylko zdołał powiedzieć, o swej przeszłości. Prości ludzie, którzy zajęli się jego wychowaniem zapewniali go, że się nazywa Jasper Vellacot. Otóż Alicja wiedziała spewnością, że brat lady Illingham ożenił się w Australji. Ślub jej odbył się na krótko przed urodzinami milionera. Przytem niezwykle imię i nazwisko przywarło do niego, jak piętno i zdradzało tajemnicę jego pochodzenia. Dzieje Vellacota owiane były tajemnicą — zjawiał się niespodziewanie na scenie cywilizowanego świata, spędził wiele lat na odludziu, wędrując samotnie stepami dalekiej Australji, następnie zdobył olbrzymią fortunę poto, by rozpocząć nowy okres życia, jako społecznik przejęty troską o bliźnich. Słuchając go Alicja zaspakajała głód silnych wrażeń i romantycz-

nych przeżyć, nie zdawała sobie jednak sprawy jak bardzo ją obchodzi.

Metaliczny brzęk drutów ustał nagle. Lady Alicja gryzła obsadkę z masy perłowej i odczytywała niedokończony list do Vellacota. Słowa ciotki zasiały w jej duszy niepokój. Właściwie to ja go bardzo mało znam — rzekła do siebie — ale czyż lepiej znam innych moich przyjaciół?

Nawet najszczerza i niezależna kobieta miewa tego rodzaju przykre wątpliwości. Wątpliwości budzą niepokój tem większy, im bardziej dana kobieta jest dumna i naiwna. W takich chwilach przytłacza je świadomość swojej niższości, wobec mężczyzn, buntują się przeciwko własnej słabości i nadrabiają miną, chociaż w gruncie rzeczy straciły już pewność siebie. Lady Alicja postąpiła według utartej formułki — uśmiechnęła się wesoło i zanurzywszy pióro w kałamarz, zakończyła bez wahania list do Vellacota. Następnie zabrała się do pisania listu do Bonamy Tredgold. Trwało to znacznie dłużej. Oczy jej nabrały tklivego wyrazu, a gdy zalepiała koperkę westchnęła jak sentymentalny podlotek.

Korespondencja z przyjaciółmi przyniosła konkretny rezultat — w salonie lady Alicji zgromadzili się wszyscy jej znajomi. Przyszedł między innymi Vane Edory wraz z żoną i córką, Guy Charteris sekretarz ambasady angielskiej, odbywający urlop w Londynie, młody John Mainwaring, sir Samuel i lady Dykes, wszędobylska i wszystkowidząca Eleonora Currey, Bonamy Tredgold smukły, atletyczny młodzieniec o ciemno-żółtych, błyszczących oczach i czarnych, kręconych włosach. Jasper Vellacot przyszedł na ostatku.

Lady Alicja powstała z miejsca by go powitać.

— Jak to miło, że pan przyszedł — zawołała — uważałabym wieczór za nieudany, gdyby pan odmówił. Chcę nareszcie powinszować panu, spowodu odniesionego zwycięstwa. To było więcej niż zwycięstwo — to było triumf.

Mógł teraz patrzeć jej w oczy, bez obawy że serce mu pęknie z wrażenia. W ciągu wielomiesięcznej rozłąki nauczył się grać komedję, lecz — serdeczne przyjęcie jakiego doznał, oraz widok złośliwej damy, na tle wytwornego salonu odbierały mu spokój.

Wygląda pan gorzej, aniżeli w Aix — zauważyła ze współczuciem.

— W Aix zacząłem tyć. Zanadto leniuchowałem. Teraz jestem normalnym człowiekiem. Ale pani nic się nie zmieniła. To znaczy. To jest. Ja pierwszy raz widzę panią bez czepka — wyrwało mu się nagle.

— Co takiego? chyba bez kapelusza — odparła ubawiona Alicja — cóż pan chce, w Aix człowiek budzi się w kapeluszu i idzie spać w kapeluszu. Mam nadzieję, że teraz będzie pan mnie często oglądał bez kapelusza.

— Ile razy pani zechce — odpowiedział Vellacot, kłaniając się niezdarnie.

Alicja pociągnęła go za rękę i zaczęła go przedstawiać znajomym. Znał już sir Samuela i jego żonę, zatrzymał się więc przy niej i nawiązał rozmowę. Były poseł złożył swemu następcy gorące gratulacje, poczem nakreślił złośliwy obraz poselskiej gromady. Zaznaczył przytem, że gotów jest służyć Vellacot'owi cennymi wskazówkami.

— W North Ham rządzi teraz pewien potentat — ciągnął dalej — nazywa się Wickens, zostanie podobno burmistrzem. Ten Wickens jest właścicielem siedemnastu rzeźnickich sklepów w Londynie. Już pan wie co to za typ. Żyje bezlitośnie nędzarzy.

— Bydlę — rzekł Jasper.

— Ma pan rację. Przytem ma dajbelski charakter. Ale trzeba się z nim liczyć, bo ma olbrzymie wpływy. Będzie pan musiał go ugłaskać.

Jasper podskoczył, jak koń uderzony ostrogą.

— Ani myślę — odrzekł krótko.

— Ależ drogi panie — w takim razie będzie pan musiał z nim walczyć.

— Cóż z tego? Może zmiażdżę bestję.

— Bezwątpienia, że go można zmiażdżyć — przytaknął sir Samuel — bezwątpienia. I należałoby go unieszkodliwić. Sam jestem tego zdania. Tylko, że ja jestem za stary. Trzeba młodego, energicznego człowieka. Oto dlaczego zrezygnowałem, drogi panie. Jeżeli jednak pan zamierza umoralniać ludzi, nie dojdzie pan do niczego.

— W każdym razie będę postępować według własnego widzimisie — odrzekł Jasper — zawsze marzyłem, żeby się rozprawić z takim rekinem.

Perspektywa walki sprawiała mu w tej chwili przyjemność. Podniósł dumnie głowę, na znak że czuje się na siłach stawić czoła wrogom, lecz sir Samuel skierował rozmowę na weselsze tory. Bądź co bądź klub konserwatystów był wzorem dla innych stronnictw. Cóż to za cudowna organizacja. Oczywiście ci nieznosi radykali od czasu do czasu bombardują konserwatystów złośliwymi listami, ale układny sekretarz zawsze potrafi ich ułagodzić. Jasper uspokoił się i zaczął z zajęciem przysłuchiwać się zwierzeniom byłego posła, który go w tej chwili interesował z punktu widzenia psychologicznego. Dobrze odkarmiony, starszy pan, nigdy nie miał okazji wystąpić do boju. Dusza jego nigdy nie wyla się w mękach, prawdziwe cierpienie nie wyzwoliło go z pęt przyziemności. Iluż to Samuelów zasiada w izbie, na prorządowych ławach, łudząc się, że służą ojczyźnie. A jednak tacy właśnie ludzie cieszą się powszechnym szacunkiem i uznaniem, nikt ich nie zdoła zepchnąć na bok... Czemże wobec nich jest taki Jasper Vellacot, milioner z Australji: człowiekiem bez nazwiska, nie należącym do żadnej kasty, parjasem — tak parjasem (gdyby kiedyś prawda wyszła na jaw). Stał na uboczu walcząc sam jeden, nie wspomagany przez nikogo.

W pewnej chwili podeszła do Jaspera lady Alicja i przerwała jego zadumę. Chciała go zapoznać z Eleonorą Currey, która właśnie prowadziła ożywioną dyskusję, w gronie przyjaciół. Była to szczupła, ciemnowłosa dziewczyna, o chorobliwej cerze. Nieładną jej twarz zdobiły piękne czarne oczy, pełne blasku i wyrazu.

— Proszę pana — niech pan się za mną ujmie — rzekła do Vellacota ukazując w uśmiechu rząd białych zębów — mojem zdaniem w nowoczesnym świecie niema miejsca dla uczuć romantycznych.

Ruchem ręki wskazała Vellacot'owi miejsce obok siebie, na niskim tapczanie.

— A ja twierdzę, że i dzisiaj można sobie pozwolić na romantyzm — zawołał Bonamy Tredgold.

— Proszę mi najprzód wyjaśnić, co to jest romantyzm — rzekł Jasper.

— Wszystko to, co odbiega od szablonu, co jest niezwykle, niespodziewane, pełne powabu — odpowiedziała Eleonora — wszystko to co jest nieuchwytnie tajemnicze, tak jak religja.

— A w mojem pojęciu — przerwał jej Bonamy — jest to radość życia ujęta w artystyczną formę. Panna Currey wymieniła jedynie niektóre pierwiastki radości życia.

(D. c. n.)

Ze srebrnego ekranu

„Sześć lat miłości”

„Anna Karenina”

„Sen Nocy Letniej”

Blaski i nędze życia kobiety nowoczesnej, t. j. pracującej, samodzielnej i... „samowystarczającej” (do czasu!) stanowią ostatnio często treść filmów, w których gra Claudette Colbert. Niedawno widzieliśmy ją jako lekarzkę w szpitalu dla umysłowo chorych („Urojony świat”), a teraz znów — jako „prawą rękę” właściciela wielkich domów towarowych („Sześć lat miłości”, reż. La Cava). Urzędniczka kocha swego szefa, ale szef, zrażony do kobiet doświadczeniami swego pierwszego małżeństwa, widzi w niej tylko zdolnego kolegę. Pomimo to, dochodzi do małżeństwa, ale ze strony szefa jest to tylko akt poświęcenia



Scena z filmu „Sześć lat miłości”.



Scena z filmu „Sen nocy letniej”.

dla dobra firmy, która w przeciwnym razie może stracić wartościową pracowniczkę (chce ją porwać inna firma). Jednakże szef myli się, sądząc, że teraz współpraca jego z idealną urzędniczką będzie jeszcze ściślejsza. W swym nastawieniu na pracę, nie widzi w żonie kobiety i to w dodatku kobiety, która go kocha, a kochającej kobiecie nawet najdzielniejszej i najzdolniejszej, żadna zawodowa karjera nie zastąpi braku miłości. Toteż pani Barkley, zyskawszy niepodzielnie kobiecy teren ekspansji, t. j. własny dom — reformuje go dzielnie i sprężysto, przekształcając bałagan, składający się z niezaradnej i stetryczalej siostry męża, nieuczciwej służby i nieznośnego bachora (z pierwszego małżeństwa), na prawdziwy „home”, pełen słońca, spokoju i radości. Cóż, kiedy wysiłek ten idzie na marne. Szef wolałby dalsze piekło w domu, byleby jego „prawa ręka” była dalej w biurze. Z wrodzonym mężczyznom brakiem intuicji, pan Barkley widzi tylko jedno: zamiast zyskać, stracił swą nieocenioną pomocnicę. Stąd konflikt, który... Ale nie, nie powiem więcej, powiem tylko, że jest to doskonała komedia, w której tak zbanalizowany przez kino i teatr, romans szefa z urzędniczką, ujęty jest zupełnie oryginalnie i z dużym poczuciem psychologicznej prawdy. Jest w tem niemała zasługa reżysera, który umie nadać biegowi akcji odpowiedni rytm i tempo, i — bardzo duża — wykonawców. Zasługą reżysera jest utrzymanie całości na poziomie prawdziwie komediowym. Claudette Colbert jest jedną z najzdolniejszych artystek amerykańskiego ekranu. Godna jej partnerka, to mała rywalka Shirley Temple z filmu „Roześmiane oczy” — Jane Wither, której o tyle trudniej zdobyć publiczność, że nie jest ładna i grywa role dzieci niesympatycznych. Ale — zato jak gra! Trudno uwierzyć, że dziecko potrafi odtworzyć postać tak psychicznie złożoną, jaką jest mała Annabelle.

Film ten można podciągnąć pod specjalną kategorię widowiska, które nazywam „teatrem filmowym”, gdzie elementy teatralne (rodzaj tematu, gra

aktorska, dialog) i filmowe (układ scen czyli t. zw. montaż), ciągłe zmiany terenu akcji) łączą się w harmonijną całość.

Niektóre dzieła literackie są specjalnym magnesem dla filmowców, którzy wracają do nich kilkakrotnie. Rekord pod tym względem osiągnął L. Tołstoj. „Winę i karę” widzieliśmy na ekranie w trzech wersjach, a „Anię Kareninę” widzimy już w drugiej wersji. Jest to niewątpliwie „Anna Karenina” b. stylowa (doradcą artystycznym reżysera był jeden z członków rodziny Tołstoja). o dobrze podmalowanym tle obyczajowym, o wyczelowanych szczegółach i inteligentnej grze, a jednak przyjmujemy ten film z pewnym chłodem. Czyżby hasło „fort comme la mort” nie znajdowało już odzwierciedlenia w naszych współczesnych kobiecych sercach, broniących się przed supremacją uczuć? Bo przecież Grecie aktorce nie można nic zarzucić: bardzo subtelnie przeprowadza swą bohaterkę przez wszystkie etapy tej fatalnej miłości, nad którą od pierwszej chwili, unosi się cień śmierci. Kolejowy „motyw przewodni” dobrze podkreślony w reżyserji. Ówczesny świat rosyjskiego „high life’u”.

Doskonale wyreżyserowany jest (reż. Clarence Brown) epizod wyścigowy, gdzie równoległość dwóch akcji (same zawody hipiczne i scena między małżonkami) ma dużo dynamiki prawdziwie kinowej.

Zawód sprawił nam Freddy Bartholomew, nowa gwiazda dziecięca, w Ameryce bardzo ceniona. Według nas, chłopiec jest sztuczny, za bardzo pamięta o swem aktorstwie i nie wytrzymuje żadnego porównania z takim naprz. Jackie Cooperem. Zato stary Karenin znalazł świetnego odtwórcę: dobra maska, gest i ujęcie całej postaci. „Anna Karenina” otrzymała na te-

gorocznym festiwalu kinematograficznym w Wenecji „puhar Mussoliniego”. Odznaczenie to wystarczy, ażeby Włoszki z nabożeństwem oglądały ten film i uważały go za... ostrzeżenie. Kto wie, czy ten взгляд „wychowawczy” nie zaważył conajmniej tyle, co względy artystyczne, na szali oceny miarodajnych czynników włoskich.

Szekspir, Mendelsohn i Reinhardt! Zdawało się że „Sen nocy letniej” na ekranie będzie czemś rewelacyjnym — samą poezją, czarem, zwiewną złudą! Tymczasem wyszło coś zupełnie innego. Szekspir może nie stracił, ale kino nic nie zyskało. Reinhardt jest jednak reżyserem teatralnym i w swej pierwszej próbie filmowej traktuje jeszcze ekran jak scenę, conajwyżej — obrotową. Toteż świetnie wyreżyserował poszczególne fragmenty, nie uronił nic z dialogów — „duetów i „kwartetów” (naprz. kłótnia dwóch par pomyłonych kochanków). Z przepychem i humorem zainscenizował przedstawienie na dworze księcia, — ale użył ekranu tylko po to, ażeby nam ten teatr pokazać bliżej, wyraźniej (zbliżenia, pierwsze plany) i zastosować kilka tricków technicznych, o co na scenie jest trudniej.

Może byłby to niezły sposób popularyzacji.

Część fantastyczna, której kino właśnie miało nadać jakiś nowy kształt, nic w reżyserji Reinhardta nie

zyskała, a nawet straciła przez zbyt realistyczne ujęcie. Dziś, kiedy film rysunkowy (cudowne bajki Disney’a) przyzwyczaił nas do stylizacji i uczynił prawdopodobnym każde nieprawdopodobieństwo, — fakt, że Tytania unosi się w powietrzu, nie robi na nas wrażenia!

Podkreślić należy umiejętne stosowanie polskich napisów, w których podano teksty Szekspira w dobrym tłumaczeniu.

Jeszcze kilka słów o „chińszczyźnie”, która zajęła aż dwa ekrany: „Chińskie morza” (reż. Gavrett) i „Szanghaj” (reż. Janus Hood). Pierwszy film przypomina trochę jeden z lepszych filmów ub. sezonu „Drogę bez powrotu”; tu, jak i tam cała akcja rozgrywa się tylko na statku, między jednym portem a drugim. Scenariusz zajmujący, nietyle ze względu na wątek miłosny, ile na środowisko, wybitnie egzotyczne, przypominające trochę nowele Sommerseta Maughan’a. Reżyserja sprawna i gra aktorska — doskonała; dialogów trochę za dużo.

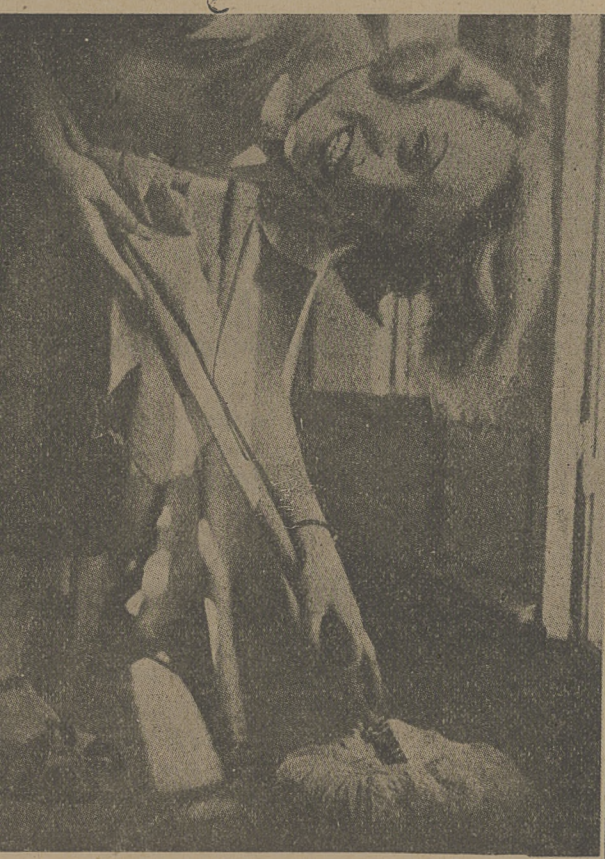
Za to Szanghaj jest filmem tak słabym, że wogóle nie zasługuje na omówienie. Jest to tem dziwniejsze, że pochodzi z jednej z najlepszych wytwórni amerykańskich (Paramount). Tak samo najlepiej będzie pominąć milczeniem film krajowej produkcji p.t. „Nie miała baba kłopotu”. O drugim polskim filmie „Panienka

z poste - restante”, można powiedzieć tylko tyle, że posiadając, niestety, więcej wad, niż zalet, przynajmniej nie grzeszy wulgarnością i daje choć kilka ładnych plein’airów z Jugosławji.

es-ha.



Greta Garbo i Fred Bartholomew w filmie „Anna Karenina”.



Ja chcę odnaleźć sposób użytkowania moich rąk.

Postęp to miotła czarnoksięskiego ucznia

Jimmi przeżywa epokę automobilową. Ma lat dwadzieścia. Gdy chodzi — zdaje się ślizgać na kółkach, — gdy spocznie na chwilę w fotelu — uosabia piorun zastygły na sekundę w bezruchu. Sama myśl, że przedmiot jakiś może trwać stale na jednym miejscu, że meble akceptują roślinność w czterech murach pokoju, że dom — fundamentami wrósł na zawsze w ziemię, budzi w niej sprzeciw poczucia sprawiedliwości.

Jej dążenia, upragnienia, mi-

łość — to ruch, zmiana miejsca, czyn. Oddycha szybko, z podniesioną głową, jakby przed chwilą właśnie pobiła jakiś rekord, lub uniknęła niebezpieczeństwa. Gdyż „wrywa”



Fizyczny trud daje pogodę ducha.



W suchem cieple radiatorów marniej roślino.

stale naprzód, jakby w obawie, aby nie uwięził je jakiś element trwały, stały, pętający: gałązka kolczasta tarniny, spiralny wąs dzikiego wina... małżeńskie kajdany.

W tej chwili, stojąc przy oknie, wsłuchuje się w warczenie automobilowego motoru, jak omgiś przed laty, matka jej i ciotki wsłuchiwały się w śpiew ptaków. Przygląda się równocześnie pracy swej trzydziestoletniej siostry, która, — to jest okropne, ale są przecież rzeczy niemożliwe do ujawnienia, która... rozpala ogień... I ma dobitkę ta szalona mówi bez najmniejszego zmieszania.

— Nie patrz tak na mnie. Drażnisz mnie. Albo jeśli chcesz mi pomóc, poszukaj stoczka..

— Stoczka?

— No tak, stoczka.

— Są przecież w Paryżu, moja Maryniu, komfortowe mieszkania, z centralnem ogrzewaniem. Czy inowacje te nie są z twojej epoki?

— Nie, odpowiada Marja, ja nie należę do tej epoki. Postęp — to jest miotła czarnoksięskiego ucznia: z niewolnika — zamienia się w pana. Wyjmuje mi wszystko z rąk, wszystko za mnie robi. Czyści, piecze, oświetla, mówi. Jutro, — jeśli nie zapobiegnę temu — zacznę myśleć. Bronię mojej myśli, mojej osobowości, mego życia. Ty, ty jesteś lenniczką pomp, motorów, drutów, centrali. Ja chcę być ludzką i świadomą siebie, — odnaleźć sposób użytkowania moich nóg, moich rąk, odzyskać poczucie czasu. Dlatego zdecydowanie wy-



Nawet „Radion” bez współudziału rąk sam nie upierze.

brałam sobie to właśnie mieszkanie

— Wybrałaś sobie!? Powiedz, że ono stało puste i oczekiwało na ostatniego warjata, czy ostatnią warjatkę. Bez windy! Twoje mieszkanie — to jaskinia tryglodyty. Prawda, są wszędzie szafki ściennie. Kolekcja szafek ściennych — to w Twoim stylu. Do czego mogą one służyć w r. 1935? Do bielizny? Nie mamy już bielizny. Do konfitur? Kucharka podziękowała przecież za służbę, zobaczywszy miedziane rondle. My mówimy „miedziane” ale kucharki nazywają to naczyniem, które trzeba „utrzymywać” w porządku. Wreszcie, każda osoba rozsądna ogrzewa sobie łóżko przy pomocy przyrządu elektrycznego, a nie kauczukowego pęcherza z gorącą wodą. Czy nazywa się to „żyć” czy „cierpieć”?

— Tak i tak. Bo żyć — to cierpieć. Dość już tego letargicznego dobrobytu. Nudziłam się w mieszkaniu skrajnie nowoczesnem. Uświadamiałam ją sobie nagle, — obecność nudy i jej nieustępliwość. Walczyłam przeciwko niej, ale w tych ramach z niklu, dywanów i neonowych lamp, nie mogłam jej zwyciężyć. Była silniejszą odemnie. Wówczas wyprowadziłam się z nowoczesnego mieszkania. Co sądzisz o moich fotelach?

— Trudno o bardziej... zapchłone.

— Pchły są nasze „wsiowe”. Pocho-
dzą z tych strychów, których ty nigdy nie
chcesz zwiedzać.

— Mam dobre przecucia co do skut-
ków tych wizyt....

— Zdumiewająca obojętność. Gdybyś
chciała przejść się po strychu, przeko-
nałabyś się co to za kopalnia skarbów.

— Zostawiłam w niej niektóre tylko
meble na pastwę rdzy i moli, ocaliłam
jednak kanapę o zerwanych sprężynach,
stolik wykładany masą perłową i... Od-
wagi Jimmie... starą fisharmonję o gło-
sie astmatycznego anioła.

— Jesteś doprawdy przygnębiająca...

— Przeciwnie. Odprężam się, rozkur-
czam.

— Czyli, że zaczniesz tyć...

— Może. Cóżby w tem było złego.
Nie będę odosobnioną w tym względzie.
Możesz stwierdzić u kobiet z mego poko-
lenia zamiłowanie do dobrej kuchni
i mebli w stylu drugiego cesarstwa. dziesięć lat...

— Mąż rozwiedzie się z tobą...

— Wcale nie. Stawał się sam śpicza-
stym, wśród tych ogólnych kantów i
„śpiczastości”. Teraz jest bardziej
ludzki, bardziej łagodny. Myśli jego
„zaokrągliły” się. Nabrał chęci do prze-
bywania ze mną sam na sam. Dawniej
siedząc w fotelach naprzeciw siebie
oglądaliśmy tylko nasze kolana.

— Jeśli miałabym siadywać na pufi-
kach i smażyć konfitury, wolałabym
umrzeć w dzieciństwie.

— Jesteś jeszcze w wieku dziecię-
cym, bo masz lat dwadzieścia. Ale nie
umrzesz. Zaczнеш żyć w zwolnionem
tempie... Wszystkie drogi w prze-
strzeni zmierzają ostatecznie do fo-
tela przy kominku...

— Skomplikowałaś sobie życie...

— Przeciwnie. Odzyskałam je.

— Nie zrozumiemy się nigdy...

— Owszem. Zrozumiemy się... za
dziesięć lat...



Małe niedole życia towarzyskiego

„Chorego nawiedzić...”

Zdarza się, i to w naszym klimacie nawet dość często, że ktoś z naszych przyjaciół czy znajomych zachoruje. „Nawiedzanie chorych” należy do cnót ewangelicznych; kodeks towarzyski zaleca je również, a przecie... sprawa nie jest tak definitywnie załatwiona ani tak zupełnie prosta, aby już nie warto było nad nią się zastanowić.

Jeżeli ktoś z naszych przyjaciół jest chory i samotny, bez opieki — nie może być dwóch zdań: — zwykłym, ludzkim obowiązkiem jest zapewnienie tej opieki, zorganizowanie w gronie wspólnych znajomych dyżurów, dostarczenie pomocy zawodowej (szpitalnej i lekarskiej) i t. p. Ale to już rzecz sumienia wybiegająca daleko poza zakres życia towarzyskiego i związanych z niem niedoli.

A z punktu widzenia towarzyskiego? Ktoś z naszych znajomych jest chory, ma doskonałą opiekę w domu czy szpitalu, nie potrzebuje właściwie niczego — ale my pragniemy koniecznie zmanifestować naszą sympatię i współczucie i chcemy go odwiedzić. Umawiamy się większą paczką:

— Wybierzmy się lepiej razem. Bo to właściwie nudna piła takie odwiedziny. Więc już odwalmy to hurtem.

Zbyt rzadko umiemy pamiętać o tem że dom choroby powinien być w pierwszym rzędzie domem spokoju.

Trzy czy cztery przyjaciółki strojne, zaondiulowane, pachnące pudrem i perfumami, świeże od powietrza i radosne od ruchu, zbrojne w wiechcie i wiechetki nieodzownych kwiatów — wdzierają się z wesołym gwarem do sypialni kobiety wycieńczonej i zeszpeconej chorobą.

— Jak się masz? Jak się czujesz? Nie wstyd ci tak chorować?! A teraz właśnie taka śliczna pogoda — zaczyna się ślizgawka, narty... a ty leżysz. I na raucie u Zetowiczów nie byłaś, ani na wernisażu w IMP-ie, ani na ostatnich premierach. Pan Jerzy z początku ciągle dopytywał o ciebie, ale teraz to się już pocieszył z jakąś piękną, rudą nieznajomą.

Człowiek chory tem się przede wszystkim różni od zdrowego, że jest o wiele wrażliwszy. Drobne szpileczki, które w normalnych warunkach odczułby lżej niż ukłucia komarów, w stanie chorobowym stają się dokuczliwe i jadowite jak żądła os; zdolne spowodować atak spazmatycznego płaczu. Zrośnięty z psychiką pancierz dobrego wychowania nie pozwala odpowiedzieć tak jak by się chciało i jakby — może — należało. Trzeba być dla

gości uprzejmą, mimo wszystko — uprzejmą.

— Dziękuję wam moje drogie, żeście zechciały mnie odwiedzić. Dobre jesteście (choroba bywa lepsza). I kwiaty... tyle kwiatów! Gdzie ja to wstawię

Pokoje szpitalne nie są z reguły zaopatrzone w nadmiar zapasowych wazonów. Z wąskiej szyjki karafki sterczą już rachityczne chryzantemy, w szklance kąpie się żałosny bukietek jesiennych fiołków. Co począć z kwiatami rozrzuconymi malowniczo i niepraktycznie na kołdrze przez „kochającą” przyjaciółkę?

Człowiek chory tem się także różni od zdrowego, że jest słabszy. Mężą go takie ruchy i sprawy, których ludzie zdrowi nie biorą wogóle pod uwagę. Mężczy wodzenie oczami i wykręcanie głowy za miotającym się po pokoju nerwowym gościem, drażni jaskrawe światło, głos podniesiony, nierówny sposób bycia; wyczerpuje dłuższa rozmowa — męczą wizyty zbyt częste i tłumne.

No tak, ale znowu chory, którego nikt nie odwiedza może ulec depresji, wrażeniu opuszczenia, osamotnienia, zmniejszonej wartości. Zwłaszcza na salach ogólnych w szpitalach wytwarza się na tem tle specyficzny snobizm, rywalizacja nawet dość ostra.

— Więc jak postępować? — Rozmaicie. Indywidualizować każdy poszczególny wypadek; unikać szablonów. Poinformować się u lekarzy czy krewnych chorego jak jest usposobiony — towarzysko czy też raczej odludnie, co lubi, na co ma apetyt i co mu wolno. Ofiarowany zamiast stereotypowego wiechetka, egzotyczny owoc albo ciekawa książka mogą stać się źródłem wielu radości.

Lecz i prawo informowania się nie jest czemś czego by należało nadużywać. Telefoniczne zapytania o stan zdrowia chorego to niezaprzeczalny dowód troskliwej sympatii, ale czasem też... i braku delikatności. Mieszkania warszawskie nie są naogół

tak rozległe, by chory mógł nie słyszeć (jakże świdrujących w zgorączkowanym mózgu!) brzęków telefonu. Wysłuchiwanie po raz dziesiąty, piętnasty, trzydziesty... w ciągu jednego dnia, udzielanych znużonym głosem (domownicy chorego są zwykle nie mniej wyczerpani niż on sam) monotonnych komunikatów o tem, że owszem gorączka cokolwiek spadła, ale jeszcze trwa, że kleik został skonsumowany bez wstrętu, i że apetytu na coś zimnego i kwaśnego doktor na razie nie pozwala uwzględnić — nie uprzyjemniłoby życia nawet osobnikowi zdrowemu. Taki biuletyn recytowany co pół godziny nad uchem posiada niezawodną właściwość podwyższania opadającej temperatury.

Czy mamy stąd wysnuć wniosek, że należy pozostawiać chorych przyjaciół ich losowi i nie interesować się nimi aż do czasu wyzdrowienia? — Bynajmniej; ale i tę sprawę należy jakoś racjonalnie zorganizować. Powiedzmy, że do domu chorego telefonuje co rano jedna osoba, do której potem inni znajomi zwracają się po informacje.

A żeby chory nie pozostawał pod przykrem wrażeniem ogólnej obojętności i zapomnienia — czyż trzeba koniecznie nachodzić go osobiście i ogłuszać dzwonkami? Można przecie — napisać. List nie przerwie wypoczynkowej drzemki hałaśliwym wstrząsem, nie przeszkodzi wizycie lekarskiej, ani sanitarnemu zabiegowi. List można przeczytać, czy poprosić o odczytanie go we właściwej, spokojnej i skupionej chwili. Można go nawet czytać wielokrotnie, do syta nim się cieszyć.

Miły, serdeczny list i jedna, jedyna, ale zato bardzo piękna róża, na długiej, giętkiej łodydze, rozświetlająca pełen lekarstw pokój, barwą, wonią i nieuchwytnym aromatem wykwinu — mogą spowodować zwrot w chorobie najpożądany — obudzić mocną, nieustępliwą wolę wyzdrowienia.

Jadwiga Kiewnarska.

Wykwintny krój—Solidna robota—Niskie ceny

PRACOWNIA UBIORÓW MĘSKICH

JAN KALISZEK

Warszawa, ul. Żórawia nr. 27 (w podwórzu, parter), telefon 9.27-47.

PRZYJMUJE WSZELKIE ZAMÓWIENIA W ZAKRES KRAWIECTWA WCHODZĄCE Z WŁASNYCH I POWIERZONYCH MATERJAŁÓW.

Na miejscu posiadamy kolekcje najlepszych fabryk bielskich

Dbajmy o zdrowie i urodę

KOSMETYKA W BIEGU NASZYCH DNI

(dokończenie)

Powiem tu jeszcze słów kilka o sprawie, która ogarnia sobą poniekąd wszystkie te trzy okresy kultury niewieściego piękna, a mianowicie o *maquillage'u*.

Zacznijmy przedewszystkiem od tego, że wogóle niekoniecznie trzeba się „malować”, a zwłaszcza wpadać w nałóg i tu, jak gdzie indziej, niebezpieczny. Natura jest hojna; tyle, że czasem bywa — powiedzmy — roz-targniona. O czemś zapomni, czegoś zanie-dba, cośkolwiek pominie i nad czemśkolwiek, w zrozumiałym pośpiechu, przejdzie do po-rządku dziennego.

Zarówno jej dary, jak jej niedopatrzienia przyjmować należy „z winnym szacunkiem”. Tego, o czem zapomni, wolno czasem z na-leżną jej estymą dopełnić jakimś niewinnym akcentem, ale, co dała, forsownie ulepszać — fi donc. Stąd reguła: nie starajmy się, by to co jest ładne, koniecznie było jeszcze ładniejszym.

Sztuka *maquillage'u*, o ile chce być praw-dziwie sztuką, nie zaś, farbowanym, a nud-nym w swej barwie lisem, powinaby u-względnić jedynie pewne niedopatrzienia natury, pracować z nią w pełnej, uśmiechnię-tej harmoniji.

A zwłaszcza nie w antytezie.

Bo wyobraźmy sobie ową antytezę. Pocóż zresztą mamy sobie ją wyobrażać; tyle razy zetknęliśmy się z nią na ulicy, w autobusie, w teatrze. Lata — nie bądźmy tyle niedeli-katni, żeby ich ilość wymieniać; biedny, chwiejny, starczy chód, twarz, na której wszystko już minęło.

Spotkawszy taką osobę, niewątpliwie panie zrozumieją, kiedy — nie należy się malować. Ale nie tylko wtedy. Bo oto tuż za nią — idzie „coś”, jeszcze z teczką, jakaś bliska krewna rozkwitłych bzów i jaśminów, niemal że białoróżowych kwiatów jabłoni na bezlist-nych pędach, z uśmiechem o nieznanej sobie jeszcze treści na koralach warg już malowa-nych *maquillage'm*. I łatwo zrozumieć, że na tych dwóch krańcach, ju-trzenką i zachodu łuną malowanych, jakakol-wiek barwę im dodawać jest rzeczą, z naturą sprzeczną.

A odchodząc już daleko od tych poran-ków i zmierzchów ludzkiego wieku, przypo-mnijmy sobie, że nawet i w południe dni na-szych daremnie próbowalibyśmy się wyzwolić z pęt tego naszego klimatu, który wciąż i u-stawicznie przeszkadza nam całym sercem, jak należy, kochać ojczyznę. Za gorąco, za zimno, a rzadko kiedy, jak trzeba. I cóż o tem długo opowiadać, że kiedy jest „nie do wytrzymania upał”, to „twarzyczka” kun-sztownie malowana zaczyna wyglądać, niczem tło „Skowronka” Małczewskiego, cała w za-gony i bruzdy. A cóż dopiero mówić o mro-zie. Czyż się serce nie wzruszy, patrząc na „różanopalącą jutrztenkę”, teatralnie wschodzącą na licach, posiniałych od rodzi-mego mrozu. „Et la tristesse de tout cela” —

ten kontrast naturalnego siniego obrzeża i nie-zmiennego, bo sztucznego kupnego różu jest czemś niewątpliwie nie takim, jakby tego pragnęła niosąca na swych licach zapożyczony rumieniec — ona.

Ścisłe — a nierealnie biorąc, nie należałoby się malować. Co jest oczywiście, wbrew wszelkiej pięknej teorii praktycznie nieosią-galne. Więc kiedyż się malować, skoro pa-trząc w oczy rzeczywistości, niema żadnej nadziei, przynajmniej bliskiej nadziei, by ma-lowanie się wogóle zostało poniechane.

Trudno wątpić o tem, że w wiekuiestej wal-ce między Ormuzdem i Arymanem, prawdą i kłamstwem, szczerą purpurą naszych ust i jas-krawym a kłamliwym ich różem, to niewi-dome, to głupie ludzkie serce, niewolne w pętach kłamstwa, rwie się jednak ku prawdzie, piętno szczerego płomienia, kładąc powyżej plamy nieszczerego różu. Skąd jeszcze je-dna reguła: niech powab nasz pod naszym

dachem będzie jak ognie rzucane przez bry-lant, prostem załamaniem się słońca dnia po-wszedniego w naszej istocie. A skoro to osiągniemy, będziemy mogły już powiedzieć wszystkie, dzwoniącej do drzwi naszych malo-wanej modzie: „Państwo są daleko, państwa niema”.

A któż zdoła przewidzieć, czy kiedyś, z biegiem czasu inna moda, porwana choćby dzisiejszym prądem coraz bliższe-go kontaktu z naturą, rzuciwszy pogardli-wy uśmiech nieładzącej nikogo obłudzie szminki, nie skupi całej swej gorliwości na racjonalnej kulturze urody, na zabiegach nie zaś wybiegach kosmetycznych. Wówczas w dalekiej, czy bliskiej przyszłości może się zdarzyć, że w muzeum rodzinnych pamiątek znajdzie się i pudzderko z różem ostatniej, najwykwintniejszej marki tuż obok szczątku brykli z krynoliny prababki.

Magdalena Poznańska

ODPOWIEDZI KOSMETYCZNE

Pani Amelii N. Warszawa. Kruche, łam-liwe paznokcie, proszę codziennie wieczorem, przed pójściem spać, po umyciu rąk, maso-wać oliwą lub olejkiem migdałowym, ze słod-kich migdałów. W ciągu dnia, kilkakrotnie, po każdym umyciu rąk i osuszeniu ich, za-nurzyć paznokcie w połówce przekrajanej cytryny, w soku której pozostawić je na kilkanaście sekund; poczem je wyjąć, a sok cytrynowy, pozostały na paznokciach, wetrzeć do sucha. Najlepiej mieć stale przekrajaną cytrynę na umywalni, aby o tem nie zapo-minać; im częściej stosować pani będzie ten krótki zabieg, tem szybszy będzie dobry sku-tek. Nie używać lakieru do paznokci, pro-szę go zastąpić pomadką, świetnie nadającą im połysk, a nieszkodliwą.

P. Jadwidze R., Piotrków. Twarz i szyję proszę myć w ciepłej przegotowanej wodzie z boraksem lub sodą oczyszczoną (1 łyżeczka od herbaty na litr wody, przegotować); opłókiwać w zimnej, również przegotowanej w sposób powyższy. Na noc smarować twarz kremem tłustym, odżywcym. Wpukiwać krem w twarz i szyję przez dziesięć minut, aż do lekkiego zaróżowienia. Po takim masażu nad-miar kremu leciutko zdjąć lnianym, miękkim ręcznikiem. Rano zmyć twarz emulsją, w po-staci mleczka lanolinowego, osuszyć i przypu-drować. Do rąk, na dzień, trzeba używać kre-mu beztłuszczowego po każdym umyciu, wcie-ra się on do sucha; na noc natomiast wcierać krem tłusty w ręce. Po kilku dniach szorst-kość zniknie. Z tego co pani pisze, sądzić trzeba, że skóra Szan. Pani cierpi wogóle na nadmierną suchość, dlatego też koniecznem jest nasycanie jej odpowiedniami tłuszczami.

P. Adzie Kr. Dla rozwinięcia i pojedrnie-nia biustu, proszę codziennie rano i wieczorem stosować przez 8 — 10 minut gimna-stykę, wykonywując ruchy, jakie robimy

przy pływaniu. Poza tem po skończonej gim-nastyce obmywać piersi możliwie zimną wo-dą, do której dodać na litr jedną łyżkę sto-łową soli i szklankę spirytusu. Wycierać do sucha. Latem używać dużo wiosłowania i pływania. Wazelina nie nadaje się do twa-rzy. W Pani wypadku trzeba używać kre-mu z gatunku cold-creamów.

Magdalena Poznańska

W powyższej rubryce Czytelniczki nasze mogą otrzymywać odpowiedzi we wszystkich interesujących je kwestiach z dziedziny kos-metyki.

„MADELEINE”

INSTYTUT

RACJONALNEJ KOSMETYKI

Dr-owej Magdaleny Poznańskiej

Warszawa, Marszałkowska Nr. 52,

Tei. 8-08-37.

Fachowo, umiejętnie, sumiennie wyko-nywa wszelkie zabiegi, wchodzące w dziedzinę współczesnej kosmetyki. Pie-lęgnuje, doskonali, odświeża, konser-wuje urodę kobiet. Usuwa jej defek-ty i braki. Przedłuża jej trwanie. Upiék-sza doraźnie. Barwi włosy udoskonalo-ną metodą. Przyciemnia brwi trwałem-i, a nieszkodliwymi barwnikami. Tam-że sprzedaje doskonałych, a indywidualnie dobieranych środków kosmetycznych „MADELEINE”, kremy, mleczka, pudry, róże, cembrey'e saszetty, otrybki i t. p. Porady bezpłatnie. Wysyłka specyfików za zaliczeniem pocztowem.

Długoletnią tradycją ustalona reno-ma firmy jest dla niej bodźcem do niezmiennego solidnego stosunku do Klienteli.

Przed sezonem zimowym

Pani wybiera się w góry...

Utarło się, weszło w zwyczaj, że pani spędza parę tygodni w zimie w górach. Oczywiście jedzie do Zakopanego, gdzie program spędzania czasu jest z góry wiadomy: śniadanka u Karpowicza, spacer sankami do Jaszczurówki, bridge w pensjonacie i dancing u Trzaski.

Ale doprawdy czyż warto być w górach w zimie i nie spróbować jazdy na nartach?

Musi jednak coś tkwić w narciarstwie, skoro sport ten ma tylu entuzjastów.

Stare wygi narciarskie wiedzą dobrze, że już w listopadzie trzeba zacząć myśleć o nadchodzącym sezonie narciarskim. Jeżeli więc pani zdecydowała się wziąć udział w „białym szaleństwie” 1935/36 roku, to musi przystąpić niezwłocznie do planowych przygotowań.

Jak się przygotować?

Trzeba zacząć przedewszystkiem od treningu, od ogólnej zaprawy fizycznej, ażeby nastawić organizm do czekających go wysiłków.

Bez tego rozruszania wszystkich mięśni, prędko na śniegu zmęczą się słabe wiązania nóg, a szybkie „zasapywania się” zniechęci panią, i orzeknie że „to sport nie dla niej”.

Niema chwili czasu do stracenia. — Od dziś trzeba rozpocząć piętnasto minutową gimnastykę, według załączonego wzorca. Uzupełniają go jeszcze: skoki przez skakankę, małe skoki w miejscu, głębokie oddechy przy otwartym oknie, i niedzielny spacer przerywany parominutowym biegiem.

To wszystko wystarczy ażeby nie męczyć się szybko przy pierwszym zetknięciu się z śniegiem, i czuć się zręczną, silną i młodą. A przecież można mieć zręczność i zachować młodość nawet przy 60 latach!

Jak się wyekwipować?

Dawniej dużą przeszkodą w popularyzacji narciarstwa była kosztowność całego ekwipunku. Dziś przemysł wyrobu nart tak się rozrósł, że można już dostać cały sprzęt za kilkanaście złotych.

Ceny butów także znacznie się obniżyły. Znajdziemy w handlu buty nawet i za 18 zł. w gatunku gorszym, lepsze będą kosztowały 25 do 30 zł. Materiał

na spodnie powinien być niezbyt gruby, ale bardzo gęsty o powierzchni gładkiej, nie włochatej, najlepiej sukno, wełniana gabardina, djagonal. Spodnie są podstawą dobrego wyglądu kobiety na nartach. Muszą też być doskonale dopasowane do figury. Szycie u krawca z własnego materiału wypada zwykle dwa razy drożej, ale za to zgrabniej leżą, gotowe można kupić za 12 zł., 18 zł., jeszcze lepsze za 27 zł.

Z innych dodatków konieczne są rękawice wełniane i brezentowe z jednym palcem, grube wełniane skarpetki, i wiatrówka, czyli bluza z gęstego cienkiego i mało przemakalnego płótna. Sportowa bluzka, sweter z rękawami, pullover (bez rękawów), wełniany szalik i beret znajdą się niewątpliwie w głębi szafy. Normalnej kobiecej bielizny na nartach nie używamy. Cienkie jedwabne i bawełniane materiały gdy zmokną parują silnie i chłodzą ciało. Najlepiej jest pod bluzkę wkładać ciekłą białą wełnianą koszulkę gimnastyczną. Przy przebieraniu się i myciu w schroniskach jest to znacznie mniej krępujące. Podwiązek i paska nie używamy. Do długich spodni nosimy trykoty długie, przerobione z męskich, wełniane lub bawełniane.

Pani powinna wyglądać na nartach ładnie i po sportowemu. Zbyt wyszukany strój i melange jaskrawych kolorów nie nadają się zupełnie. Granatowa lub brązowa całość sylwetki urozmaicona jednym kolorem np. żółtym, czerwonym lub niebieskim na bluzie, lub swetrze, rękawiczkach i skarpetkach wygląda estetycznie i przyjemnie.

Dokąd pojechać?

Nowe narty już stoją w korytarzu czy przedpokoju, strój narciarski porządnie ułożony leży w szafie, zaprawę narciarską ćwiczymy codziennie,



Czy warto być w górach w zimie i nie spróbować jazdy na nartach?

stwierdzając, że idzie nam to coraz łatwiej i z niecierpliwością czekamy chwili, gdy przypniemy do nóg narty.

Ale gdzie przypniemy narty? — Czy na Lipkach w Zakopanem, czy na pięknych wzgórzach Worochty, Wisły czy Zwardonia?

Polska posiada tyle pięknych miejscowości w Tatrach, Karpatach i Beskidach, że wybór łatwy nie jest. Najprzyjemniej i najbardziej interesującym jest poznawanie co roku innych terenów, wtedy jednak gdy ma się narty już opanowane i z łatwością przemierza się duże przestrzenie, bez trudu pokonywując każdą wyniosłość. Poznaliśmy wówczas w szeregu pięknych wycieczek cuda szlaków zimowych.

Do terenów dobrych dla początkujących, które obfitują w rozmaite łatwych wycieczek należą: Krynica, Zwardoń, Bukowina (Koło Poronina), Sianki, Rozłęcz. Pani, jadąca poraz pierwszy na narty powinna stanowczo zapisać się na kurs. Uniknie w ten sposób wielu niepotrzebnych trudności i znacznie szybciej opanuje swe pierwsze kroki na „deskach”.

Przy umawianiu się z „paką” znajomych na wyjazd w góry, trzeba być bardzo ostrożną i poinformować się dokładnie o stopniu wyszkolenia narciarskiego swych przyjaciół i o ich zamierzeniach turystycznych. Można łatwo stać się przykrym balastem na który wszyscy niechętnie patrzą, a w

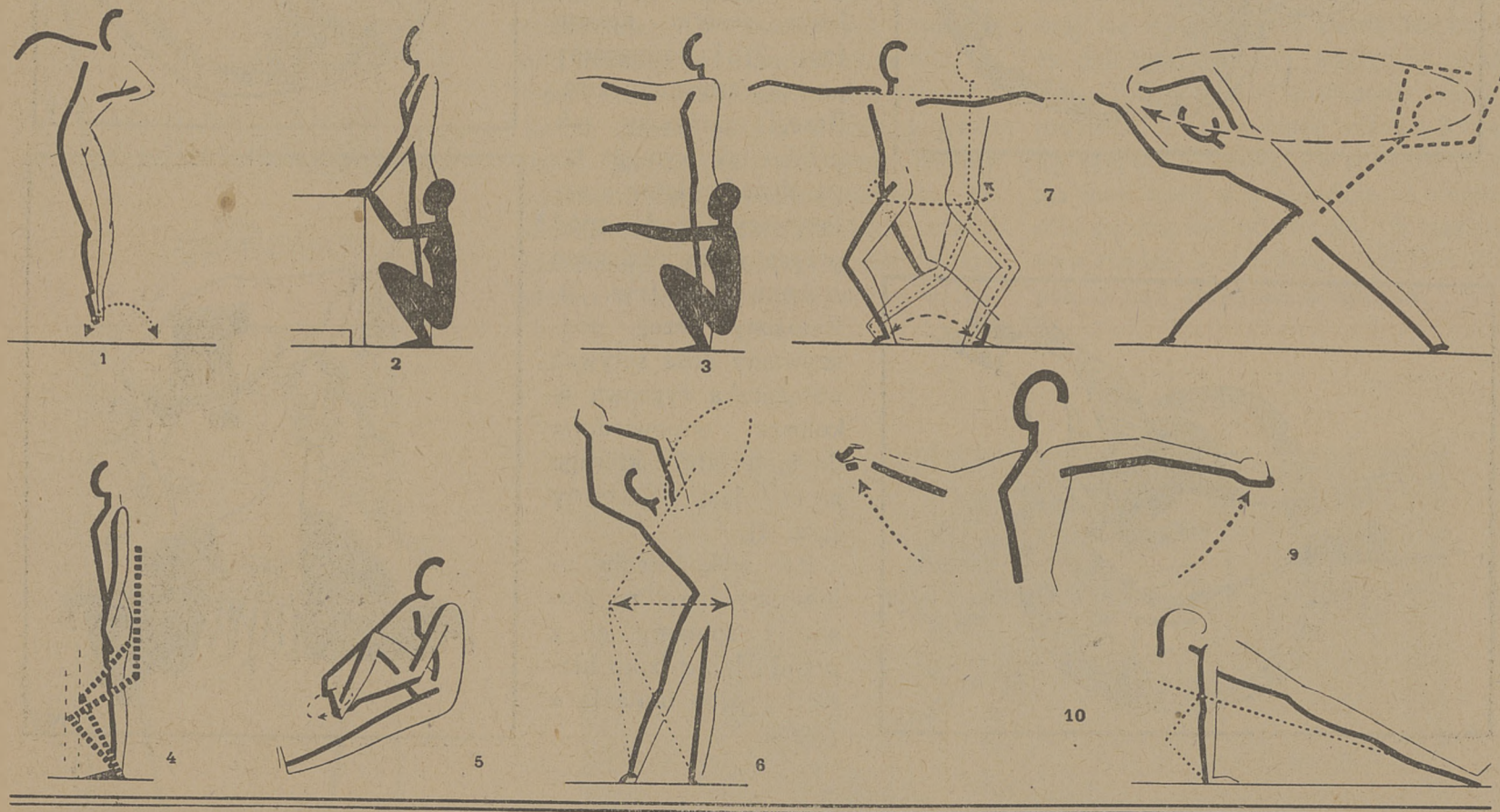
mniej koleżeńskim środowisku, można czasem zostać opuszczoną na śniegu, samą i nieszczęśliwą. To też lepiej zawczasu się przyznać, jeśli niema się pojęcia o zjazdach, niż udawać świetną narciarkę.

Przecież „nie święci garnki lepią” i ostatecznie „nie święci jeżdżą na nar-

tach”. Trochę zapału (a niewątpliwie zapał wybuchnie po pierwszym dniu nauki) i wytrwałości a szusy, łuki i opory przestaną być czemś niepojętym i trudnym.

A po kilku dniach liczba entuzjastów nart zwiększy się, nie o jedną, a c wiele wiele Pań.

Ażeby nie być na śniegu niedołągą... ćwiczymy zaprawę narciarską



1. Podskoki w miejscu w lewo i w prawo. Nogi połączone. Dłonie wyciągnięte.

2. Szereg przysiadów z oparciem rąk. Tułów wyprostowany. Stopy nie odrywać od ziemi.

3. To samo ćwiczenie bez oparcia rąk.

4. Elastyczne uginanie kolan, bez odrywania stóp od ziemi. Ręce leżą wzdłuż bioder. Tułów wyprostowany.

5. W siadzie na ziemi ujmujemy stopę dwoma rękami, (prawą ręką pal-

ce, lewą piętę) i nadajemy stopie rotacyjny kierunek.

6. Ręce w pion. Skłon tułowia do boku z jednoczesnym wypchnięciem biodra w stronę przeciwną.

7. Skoki w miejscu z krzyżowaniem prawej nogi przed lewą i odwrotnie. Następuje przy tym skręt bioder, górna część tułowia pozostaje nieruchoma.

8. Nogi w rozkroku. Ręce w pion. Krążenie tułowia.

9. Energiczne naprzemianstronne wymachy ramion.

10. Siad płaski. Podpór rękami z tyłu. Przy oparciu mocnym na dłoniach uniesienie bioder do góry. Tułów wyprostowany jak na rysunku. Zginamy ręce w łokciach potem prostujemy.

Piętnaście minut takiej gimnastyki codziennie przygotowuje wystarczająco organizm do znoszenia wysiłków w opanowywaniu nauki jazdy na nartach.

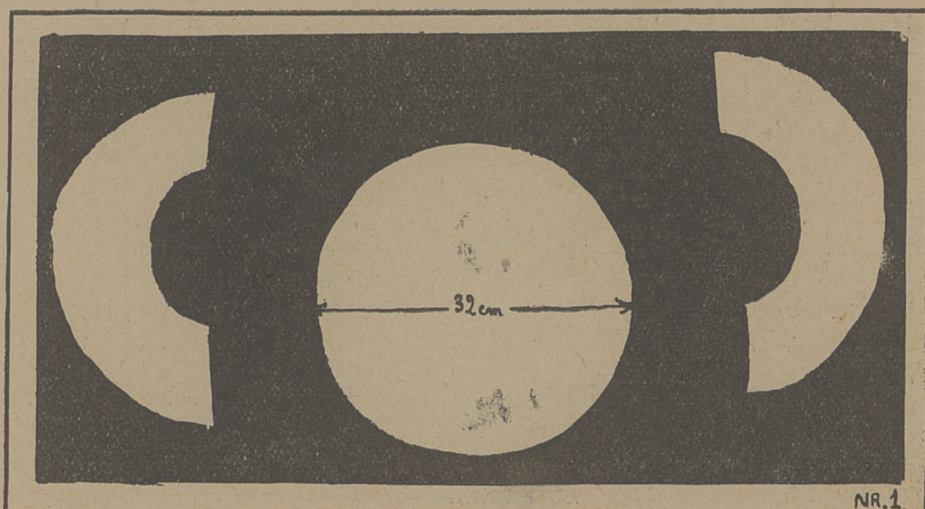
H. Iwaszkiewiczówna.

MODNY BERET

WŁASNEJ ROBOTY

Z sukna, lub materiału pozostałego od palta albo od kostjumu możemy zrobić modny i praktyczny beret, korzystając z podanych wskazówek i rysunków.

Wycinamy koło o średnicy 32 centymetrów i dwa półkola, które zeszyte ze sobą po-

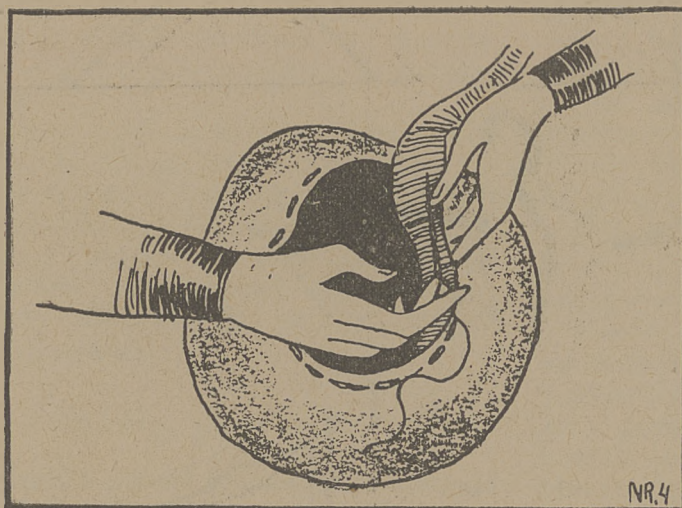
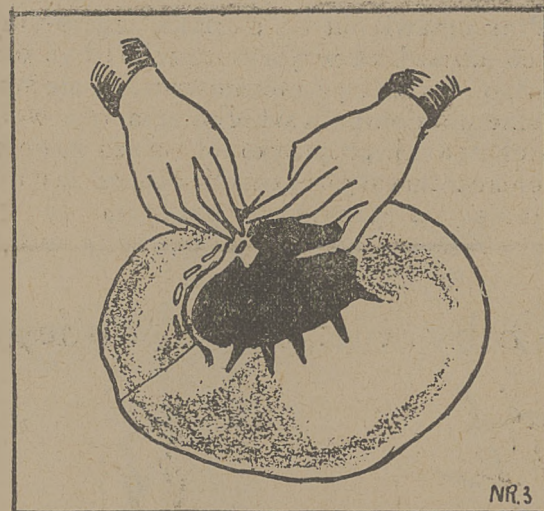


NR.1.

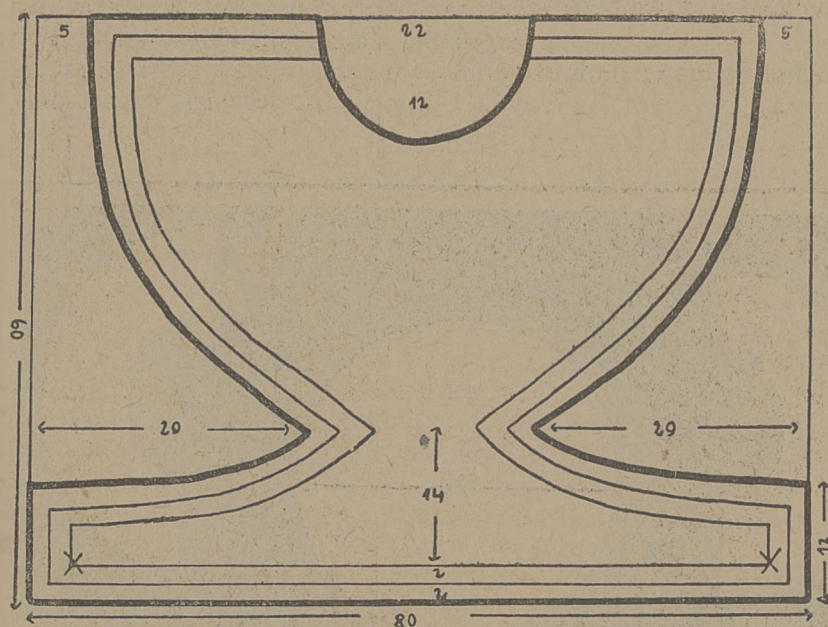


winny też mieć 32 cm. średnicy. Jeśli materiału mamy dosyć można oba półkola wykroić, jako jedną, nieprzeciętą całość, t. j. w takim samym kole jak pierwsze wyciąć otwór w formie kółka. Obie części zaszywamy na lewo gęstym szwem (rys. 2) i odwracamy po rozprasowaniu szwa. Brzegi nacinamy tak daleko jak wymaga tego obwód głowy i założywszy pod spód przyszywamy ściąganiem szewstwowym (rys. 3). Założony brzeg podszewamy dość sztywną wstążeczką rypsową w kolorze odpowiednim do materiału z którego берет jest zrobiony (rys. 4).

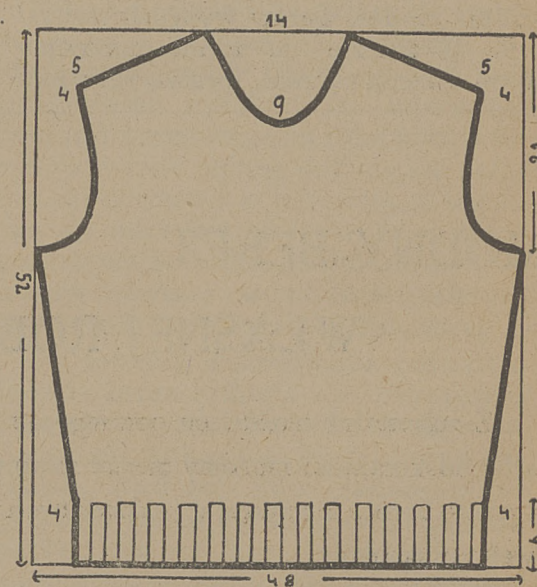
Po wykończeniu układamy берет na głowie i spinamy go z przodu lub z boku klamką albo fantazją z piórek.



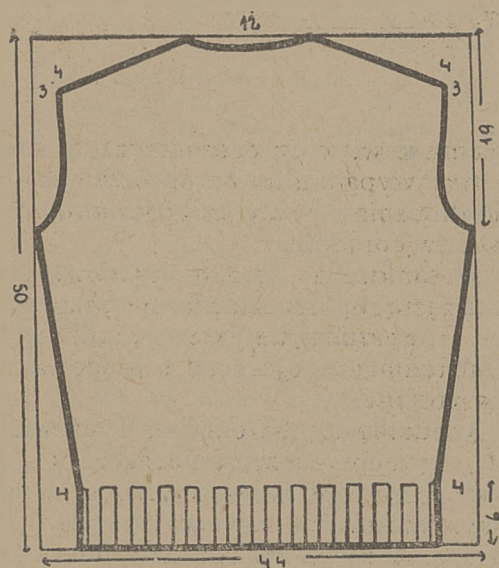
GARNITUR NARCIARSKI robiony szydełkiem i na drutach



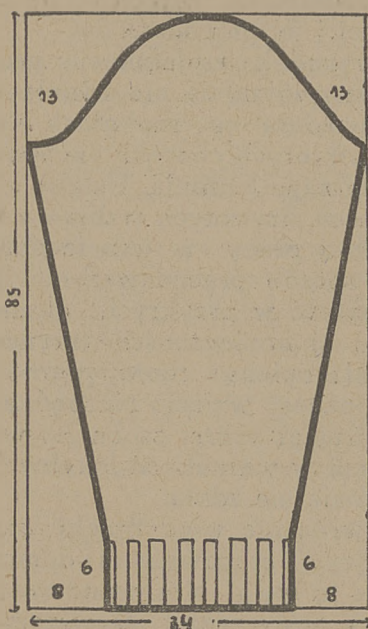
kamizelka



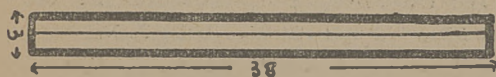
przód



tył



rękaw



kołnierzyk

GARNITUR NARCIARSKI

Pokazane na obrazku ubranie narciarskie składa się z pull'overu zrobionego na drutach w granatowym kolorze, bardzo oryginalnej i szykownej kamizelki-pelerynki szydełkowej wykonanej czerwonym i białym kolorem i czapki.

Aby pull'over i kamizelka dobrze leżały należy przygotować wykrój. Powiększenie według własnych rozmiarów rysuneków znajdujących się obok nie przedstawia żadnych trudności. Załączone rysunki odpowiadają

ją średniej wielkości, cyfry znajdujące się — to centymetry. Chcąc powiększyć lub zmniejszyć należy odpowiednio ilość centymetrów dodać lub ująć.

PULL'OVER.

0.30 dkgr. ciemno-granatowej wełny Zefir wziętej w trzy nitki. Ściegi. Dół pull'overu i rękawów robi się ściągaczem, czyli 1 rząd, 1 oczko prawe, 1 oczko lewe. W następnych rzędach nad oczkiem prawem prawe, a nad lewym lewe. Cały zaś sweter zrobiony jest w szersze pasy: 3 prawe, 1 oczko lewe. Każdą część pull'overu robimy oddzielnie, ściśle według wykroju. Po skończonej robocie wszystkie części rozpinamy i prasujemy przez mokre płótno, a następnie zeszywamy wełną.

KAMIZELKA

15 dkgr. granatowej, 5 dkgr. czerwonej, 5 dkgr. białej wełny Zefir wziętej w trzy nitki.

Cała kamizelka zrobiona jest półsłupkami chwytanymi od tyłu, dzięki czemu tworzą się wypukłe prążki.

Kamizelkę zaczyna się od dołu w kierunku poziomym od łańcuszka takiej długości jak wykrój. Tam, gdzie krój się zwiększa lub zmniejsza należy półsłupki dodać względnie ująć. Gdy robota jest skończona należy przerobić 3 rzędy białą wełną i 3 rzędy czerwoną wełną. Wykończenie to ma inny ścieg, a mianowicie na zmianę robi się słupek i półsłupek. W następnym rzędzie nad półsłupkiem jest słupek, a nad słupkiem półsłupek.



Istnieją obustronne źródła zatargów ze służbą domową. Łatwiejsze są jednak do zlikwidowania dla pań domu te, które wynikają ze strony ich pomocnic bądź to pod postacią: krnąbrności, lenistwa, opryskliwości, czy nawet jawnej nieuczciwości.

Sprawa znacznie się komplikuje, jeśli pracownica może postawić swym pracodawcom uzasadnione zarzuty jakiegokolwiek nadużycia z ich strony. Tematem do zatargów tego typu ze służbą są zazwyczaj: natychmiastowe wypowiedzenia, zalegające wynagrodzenia, rzadziej sprawy urlopowe.

Wszelkie zatargi wynikłe ze służbą domową, o ile nie dadzą się zlikwidować polubownie, podlegają kompetencjom Sądów Pracy. Działają ich na terenie Rzeczypospolitej czternaście.

Sąd Pracy w Warszawie mieści się przy ulicy Ogrodowej 29. W miejscowościach pozbawionych Sądów Pracy sprawy z ich zakresu rozstrzygają Sądy Grodzkie, w których skład wchodzi: sędzia i dwaj ławnicy. Należy zaznaczyć, iż od niedawna przysługuje kobietom prawo piastowania urzędów ławniczych. I właśnie w tej dziedzinie inicjatywa kobiet może znaleźć właściwe pole do wykazania walorów twórczych i organizacyjnych.

Zadaniem Sądów Pracy jest wymierzanie sprawiedliwości zarówno na stronę służby domowej, jak i pań domu. Zjawiskiem niezmiernie charakterystycznym wszakże jest to, że z interwencji Sądów Pracy (jak dotąd) żadna z pracodawczyń nie korzystała. A trudno mieć złudzenia, że postępowanie naszych pracowników domowych nie stworzyło po temu okazji. Jest to dowodem, że panie domu wolą raczej ponieść pewne straty natury moralnej, czy finansowej, a nie zaprzętać sobie głowy Sądami. Z drugiej strony nie jest to metoda postępowania godna pokłasku, ponieważ w znacznej mierze współdziała rozzuchwalaniu się służby domowej, ufnej w bezkarność popełnianych ekscesów.

Gdy chodzi o wypadki niesumienności pracodawców, to zdarza się, że pracownice padają niekiedy ofiarami ludzkiej złej woli.

Ustawa bowiem przewiduje przedawnienie należności po upływie roku. A jakże mało o przepisach obowiązujących wiedzą nie tylko pracownice, lecz same panie domu. Pierwszym przepisem (często lekceważonym) jest obowiązkowe meldowanie nowoprzyjętej pracownicy w ciągu 24 godzin, zarówno w Urzędzie Meldunkowym danego komisarjatu, jak i w Wydziale Okręgowym Ubezpieczalni Społecznej.

Drugim przepisem, jest ściąganie

opłat na rzecz Ubezpieczalni z poborów pracownicy w wysokości na nią przypadającej. Poza tem jeśli chodzi o skonkretyzowanie obowiązków pracodawców względem służby, to należy je ustalić pod czterema punktami: 1) wynagrodzenia pieniężnego; 2) świadczeń w naturze; 3) zabezpieczenia opieki lekarskiej i 4) urlopów.

Są to obowiązki ciężkie i poważne, które podejmuje pracodawca, w zamian za pracę i pełną poczucia odpowiedzialności postawę pracownika.

Tak być powinno, ale tak nie jest, niestety — zawsze i wszędzie. Często służbie się wydaje, że po jej stronie są wyłączne przywileje i ona może wyzyskiwać sprzyjające okoliczności i terroryzować otoczenie. Kiedy indziej pracownice bywają naprawdę wyzyskiwane przez niesumiennych pracodawców. I ci potrafią sobie stworzyć niezbędne do tego warunki.

Ustawa przewiduje bowiem przedawnienie należności po upływie roku. Jeśli w ciągu tego roku pracownica nie wystąpiła na drogę sądową, a nie posiada dokumentu, stwierdzającego, że dana suma pieniężna należy jej się wyrażnie z tytułu zaległego wynagrodzenia, prawa jej do egzekwowania tej należności wygasają.

Pracownikom nieopłacanym w terminie, proponują pracodawcy przy obrachunku traktowanie tej należności, jako pożyczki zaciągniętej przez pracodawcę. I nawet na ową pożyczkę chętnie wystawiają kwity.

Jeśli jednak pracodawca zwleka zbyt długo ze zwrotem takiej „pożyczki”, a pracownica zwróci się do Sądu Pracy o interwencję, to spotka ją nie miłe rozczarowanie. Sąd Pracy sprawy tej nie przyjmie, „dobrowolna pożyczka” i jej regulowanie nie wchodzi w zakres jego kompetencji.

Obowiązkiem moralnym pań domu jest więc bezstronne uświadamianie pracownic o istniejących przepisach i o sposobach dochodzenia praw swoich na wypadek konieczności.

Wystąpienie do Sądu Pracy nie jest sprawą skomplikowaną, ale też trzeba wiedzieć, jak się je przeprowadza. Skargę pisemną redaguje się w biurze Sądu Pracy, koszt skargi wynosi od 1,50 do 2,— złotych.

I tu grasują wyzyskiwacze, którzy wyłudniają niekiedy od dziewcząt do 10-ciu złotych. Opłaty sądowe wynoszą 2½% od sumy wchodzącej w grę i obciążają stronę przegrywającą. Rozpatrywanie spraw napływających odbywa się nie później, aniżeli po upływie miesiąca. Zerwanie umowy przed terminem jest też często powodem spraw sądowych. Rozpatrywane są jednak tylko zerwania bez wypo-

wiedzenia z winy pracodawczyń, które w tym wypadku są obowiązane do odszkodowania w wysokości poborów za dwa tygodnie.

W stosunku do służby domowej, jakże często opuszczającej bezprawnie i bez uprzedzenia swój „obowiązek”, ustalonego rygoru postępowania nie posiadamy.

A przydałby się bardzo. Czas wielki, aby i pracodawczynie zaczęły stać w obronie praw własnych, a nade wszystko, aby o prawach tych wiedziały. A są te uprawnienia, niestety, tak szczupłe, że nikogo nie przeciąży rzeczowe zapoznanie się z nimi. W związku z wejściem w życie Ubezpieczalni Społecznej, nowa chmura zawisła nad normami współżycia służby domowej i jej pracodawców.

Na wypadek załabnięcia pracownicy Ubezpieczalnia nie udziela obecnie przydziału w szpitalach, takim chorym, których choroby nie wymagają szpitalnego leczenia. Ustawa o pracownikach fizycznych wzbrania zwalniać ich z pracy w czasie choroby. W ten sposób pracodawczynie mogą się znaleźć w przykrych okolicznościach: 1) konieczności trzymania i otoczenia opieką chorej pracownicy; 2) niemożność wzięcia niezbędnej pomocy drugiej, której osoba ani w budżecie, ani w warunkach lokalnych pomieścić się nie zdoła.

Przywrócenie więc opieki szpitalnej chorym pracownikom domowym, tak jak to było stosowane w Kasie Chorych, jest rzeczą pierwszorzędną wagi. Inaczej sprawa ta może przyczynić się w znacznej mierze do wzmożenia się bezrobocia, w szeregach służby domowej.

Do omówienia pozostała już jedynie sprawa urlopów, którą Kodeks Zobowiązań (od lipca 1934 r.) unormował według ustawy ogólnej o pracownikach fizycznych. Ustawa przewiduje 8-mio dniowy urlop płatny po roku pracy, a dwutygodniowy po 3-ich latach pozostawiania w jednym obowiązku. O ile pracownica z urlopu korzystać nie chce, lub nie może, należy jej się wypłacenie urlopowych poborów w wysokości stawki dziennej pomnożonej przez ilość dni urlopowych.

Normy prawne, jako przewidziane regulatory stosunków wzajemnych pozostają właściwie bez zastosowania tam, gdzie praca i człowiek są cenieni należycie. Do głosu dochodzą dopiero wtedy, gdy zła wola lub nieświadomość spowodują konflikt.

Starajmy się więc nie grzeszyć ani jednym, ani drugim. Tem więcej, że nieznanomość prawa nie bywa nigdy i nigdzie poczytywana, jako okoliczność łagodząca.

M. A.

Z RYNKÓW SPOŻYWCZYCH

Pensje zmniejszone, podatki powiększone, trzeba się oszczędzać na wszystkie możliwe sposoby, zaciskać pasa, do ostatniej dziurki. Wobec takich warunków, czytelniczki Tygodnika, mogą mieć mi za złe, że piszę o drobiu i zwierzyńnie, o nowych jarzynach i sałatach zimowych, o owocach południowych, o wszystkich przysmakach, o które, — jak na złość wobec zmniejszonej zdolności płatniczej całego społeczeństwa, — tak obfituje rynek stołeczny.

Nietylko stołeczne panie domu czytają Tygodnik, ma on, chociaż tak młody, szczerze przyjaciółki we wszystkich dzielnicach Polski, a wiadomo, że właśnie na odległych Kresach, zależnie od tego, czy okolica w lasy i moczary, czy w rzeki i jeziora obfituje, zwierzyzna i ryby stanowią najtańsze artykuły spożywcze. Wprawdzie sygnalizuje ich pojawianie się na rynku warszawskim i ich stosunkowa taniość lub drożyzna, lecz te wskazówki mogą, odpowiednio zmodyfikowane, przydać się i gospodyniom w najodleglejszych krańcach Rzeczypospolitej.

Naprzykład wielka taniość jakiegos gatunku drobiu w stolicy, może wstrzymać ich producentki od wyzywania się go za bezcen i spożycie w domu, zamiast mięsa rzeźnego, nabywanego w sąsiednim miasteczku.

Przypomnienie, że się zbliża czas ochrony na jakąś zwierzyznę, przypomni o zamrażaniu jakiejś partii kuropatw, zajecy czy bażantów — zwierzyzna tak cudownie daje się przechować, wisząc zamrożona w miejscu suchym i przewiewnym.

Panie nie posiadające takich składów, mogą zastosować, już częściowo opróżnione słoje systemu Weck'a i w nich przechować część takiej zwierzyzny na karnawał.

Muszę wciąż wracać do starej piosenki. — naidroższe są obecnie mięsa rzeźne. Mięso wołowe kosztuje w Warszawie w hurcie 1 zł. 10 gr. za kg., a w detalu 1 zł. 50 groszy, — roznietość olbrzymia, niezmierzająca się wytlómaczyć, gdyż dzięki dziwnemu prawu zwyczajowemu, za wszystkie części tłuwej ćwierci (za wyjątkiem poledwici) płaci się jednakoową cenę, przyczem, chociaż dokładka oficjalnie nie istnieje, zawsze rzeźnik potrafi tak ukrajać żadaną ilość mięsa, że go trochę brak do wagi i ten brak uzupełnia się kostką lub zupełnie niezdatnym do jedzenia obrzynkiem.

Pomimo ogromnie rozwiniętej w Wielkopolsce i na Pomorzu hodowli owiec angielskich i zmniejszeniu ich eksportu do Francji i Anglii, dobra baranina nawet można li tylko w sklepach kolonialnych i to tych najlepszych, — oczywiście w takich warunkach i przy małym na nią popycie, musi ona być droga, niedostępna chudej kieszeni inteligencji pracującej.

Czytając uważnie ceduły stołecznej giełdy mięsnej, możemy zauważyć, że baranów na miejscu prawie się nie biele. Te bardzo drogie udźca i embry sprzedawne w cenie około dwóch złotych, to zady owiec bitych po małych miasteczkach prowincjonalnych, słownie kresowych, gdzie koszerne przody zjadają miejscowi żydzi i gdzie te same zady na miejscu kosztują od 60 do 70 groszy za kg., zależnie od młodości sztuki.

Z tym nadmiernym zyskiem pośredników jest też coś do uporządkowania.

Wyroby z wieprzowiny i sama wieprzowina w detalu powinnyby też znacznie stanąć, bo żywiec znacznie stanął.

Spodziewano się, że z dniem podpisania umowy handlowej z Niemcami, wieprzowina, słonina, smalec, masło i wszelkie tłuszcze, których taki brak odczuwają nasi zachodni sąsiedzi, znacznie pójda w górę.

Tymczasem widocznie narodowo-socjalistyczni Niemcy równie starannie bronią interesów swoich agrariuszy, jak dawne rządy cesarskie, bo mimo dotkliwego braku wędlin i tłuszczów zwierzęcych, widocznie nasz eks-

port nie ruszył — czego najlepszym dowodem jest niżka cen żywca wieprzowego i masła.

Zrobiono mi zarzut, że niesłusznie twierdzę, iż gęsi są tańsze od wołowiny, — bo wołowinę można kupić 1 kg. a nawet ¼ kg., a gęś należy koniecznie kupić całą, a cała gęś podobno sztuka w sztukę pięć złotych kosztuje. Otóż przedewszystkiem we wszystkich hłach i w sklepach z drobiem na miejsce, możemy kupować gęsi i kury nietylko na połówki, lecz nawet na ćwiartki.

Następnie jeżeli cena 1 zł. 20 groszy, którą płacono w chwili najlepszej dla gęsi koniunktury, to w dniu 5-go Marcina nie jest niższa od ceny wołowiny z kośćmi wynoszącej 1 zł. 50 gr., to chyba zupełna niezajomość najprostszego działania arytmetycznego zwanego „odejmowaniem” może moją antagonistkę tłómaczyć.

Dalej czemu cała gęś ma być od razu zjedzona, jak pieczeń lub sztuka mięsa z jednego kilograma wołowiny.

Nakoniec kto i gdzie obserwował tę jednolitą cenę gęsi „5 złotych” sztuka?

Gęsi sprzedawane w całości z podróbkami mają różną wagę i można mieć sztuki młode, mięsiste i nie bardzo przetłuszczone już o wadze od 3 kg., a nawet nieco mniej. Otóż na rodzinę składającą się z 4 — 5 osób, można taką gęś podzielić w sposób następujący. Z dróbek ugotować zupę na dwa dni, pierwszego dnia może to być krupniczek z grzybkami i perłową kaszą lub zupa ogórkowa, drugiego czernina (krew kupić oddzielnie) z

kluszczkami i suszonymi śliwkami. Dróbka można dać w potrawce z grzybowym lub śmietanowym sosem i z kaszą perłową lub brukwią duszoną. Piersi ze skrzydłami dadzą obfite pieczyście, a z ud i grzbietów można zrobić galaretę do chrzanu lub tatarskiego sosu. Zdaje mi się, że wkroczyłam w dziedzinę cudzej kompetencji, niech mi koleżanka Melba wybaczy — chodziło mi o obronę pozycji — to tak jak w bridżu obrona robra — zapomina się o wszystkich względach i broni, broni, broni!!!

Od dnia w którym ten numer Tygodnika światło dzienne ujrzy zostanie tylko trzy dni do czasu ochronnego dla kuropatw. W dniu tym skończy się polowanie na tę najwykwintniejszą zwierzyznę. W sprzedaży będą one jeszcze dni dziesięć. Amatorowie kuropatw mogą je przechować parę tygodni zawieszane na balkonie lub za łucikiem, nawet jeśli nie będzie dużego mrozu. Mocno zamrożone kuropatwy w piórach nawet parę miesięcy wisieć mogą. Mniejsze ilości można doskonale zakonserwować w Weck'ach, już umięczone, wraz z masłem lub słonką z którymi się piekły — jednak bez sosu zaprawionego maki i śmietaną, jak to radzą niektóre podreczniki kulinarne.

Obok innych sałat mamy obecnie duże ilości cykori i bielonej (Whitlof) sałaty i jarzyny na gorąco jednocześnie.

No i widocznie, niema u nas takiej biedy o jakiej się mówi, bo jesteśmy zasypani winogronami, które ktoś widocznie kupuje i zjada skoro wszystkie sklepy je trzymają.

Sygnalizują pierwsze mandarynki — witaminki, za to gruszki zupełnie znikły z rynku.

Pani Elżbieta.



**PŁASZCZE
SUKNI
i KOSTIUMY**

**z ostatnich modeli
paryskich
poleca**

MAGAZYN OKRYĆ i SUKIEN DAMSKICH

FR. WEGNER i J. KUREK

Warszawa, ul. Moniuszki Nr. 8 telefon 5-90-16

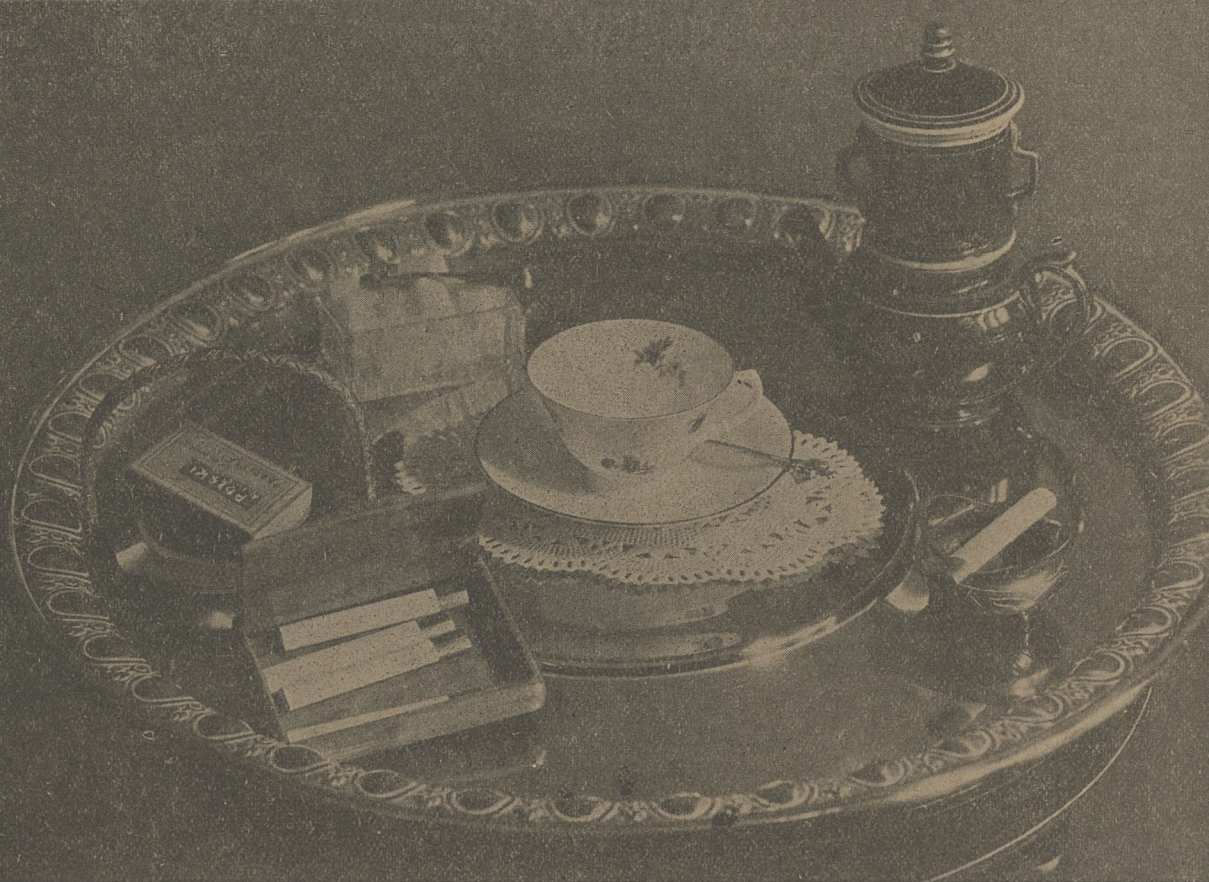


Photo Becker i Maass.

Palmy w pokoju

Wybitnej wrażliwości palmy należy szukać przede wszystkim w gwałtownej zmianie warunków. Przeniesiona z parnego powietrza cieplarni, w której latami nieraz bytowała, nie jest w stanie zaaklimatyzować się od razu w suchym powietrzu pokojowym, szczególnie jeżeli nie uwzględnimy jej potrzeb i upodobań.

Palma najczęściej musi odchorować podstawową zmianę warunków. Zanim nauczy się radzić sobie w nowym środowisku buntuje się przeciwko niemu zatrwającami nas objawami: najczęściej żółkną wierzchołki liści, a to przejściowe stadium trwa dopóki liść nie stwardnieje i nie uodporni się na wpływ suchego powietrza pokojowego. W każdym razie te niepokojące nas objawy będą zawsze przejściowe jeżeli otoczmy roślinę odpowiednimi staraniami.

Najwrażliwszymi okazały się zawsze palmy silnie rozwinięte te, które bytowały długie lata w cieplarniach, lub kwiaciarniach o sprzyjającej ich wegetacji atmosferze. To też najlepiej zaopatrywać się w okazy młode o 2—3 dobrze wykształconych liściach, pamiętając o tem, że najłatwiej się aklimatyzują we wstępnym stadium rozwoju.

Wszystkie palmy, niezależnie od odmiany, potrzebują dużej i systematycznie dozowanej ilości wody. Jednorazowe zasuszenie powoduje niejednokrotnie zgubne skutki, a to szczególnie u odmian delikatnych i wrażliwych. W najlepszym wypadku należy się spodziewać, że zasuszona palma straci dolne liście, najczęściej jednak zasuszona marnieje.

Roślina, o tak wybitnem łaknieniu, jak palma, wymaga ziemi o typie cięższym, dlatego też przesadzając palmy, trzeba dostar-

czyć im ziemi gilniastej, albo bardzo dobrej inspektowej. Wrzosowa, liściowa, a szczególnie jedna, lub druga wymieszana z piaskiem, jako wybitnie przepuszczalne, a tem samem szybko wysychające są dla palm niewskazane.

Ziemie lekką, przepuszczalną stosujemy tylko wraz z chorobą korzeni, którą leczyć należy lekkim pożywieniem i niewielkimi ilościami wody.

Narówni z obfitem i systematycznym polewaniem palma wymaga codziennego, obfitego zraszania liści i łodyg i utrzymywania ich we wzorowej czystości, jest to środek zapobiegawczy przeciwko pladze pasożytów, a równocześnie usprawnienie dopływu powietrza niezbędnego roślinie.

Do zraszania i obmywania palm trzeba używać wody o temperaturze nieco wyższej, niż przeciętna temperatura pokojowa — podlewać należy również wodą lekko ogrzaną, ale nie ogrzaną na ogniu, a postawioną na słonecznym parapecie okiennym, albo w pobliżu pieca. Nie wolno podlewać palm wodą czerpaną wprost z kрана.

Kto obserwował palmę, musiał zauważyć, że pień wznosi się do góry na korzeniach. Jest to cecha charakterystyczna palm, występująca zarówno u roślin doniczkowych, jak i rosnących na swobodzie. Nie trzeba też ani obsypywać ziemią obnażonych korzeni, ani przesadzać palmy do większej doniczki, zagłębiając ją w ziemi wbrew jej upodobaniu. Natomiast palma czuje się doskonale jeżeli osłoniemy obnażone korzenie mchem i będziemy dbali o zwilżanie mchu przy podlewaniu.

To samo inaczej

DOMOWA „CZARNA”

Filiżanka czarnej kawy sączona w domowym zaciszu miewa posmak rozmaity. Nie zawsze jest „gorąca, jak piekło” (warunek wymagany przez znawców) nie zawsze jej opary łachocą rozkosznie podniebienie, a „ramy”, w które ujęto całą, lub pół domowej czarnej również nie zawsze zbliżone są do ideału!

W dzisiejszym naszym budżetowo-minorowym nastroju, sposób podania „domowej czarnej”, przedstawiony na naszej ilustracji, drażni posmakami tak zwanego „burzujstwa”.

Nie jest jednak tak, jak nam się na pierwszy rzut oka zdaje. Nie wchodzi tu w grę żadne luksusowe czynniki — nic nie obciążało naszego budżetu.

„Posmak” wykwintu?

Nie. Tylko „To samo inaczej”.

Zamiast przygodnej filiżanki o wyszczerbionych brzegach, podanej „w garści” przez niedbałą naszą pomocnicę, staranna ręka pani wypieściła sposób podania poobiedniej kawy.

Otocza ją klimat swoisty, klimat uśmiechu losu, a nie zwyczajnego, codziennego zdarzenia, które rozgrzesza letnią temperaturę, brak aromatu, „czarne morze” na spodku — karygodne niedbalstwo podania.

X.

Ogólna Poradnia Gospodarcza radzi...

Chcąc uchronić jedwabie, które w praniu puszczaają i zaciekają, kładzie się czysto uprany jedwab do słodkiego mleka i pozostawia tak długo, dopóki mleko nie skwaśnie. Potem płóczy się materiał w czystej, chłodnej wodzie.

Plamy od owoców na stołowej bieliźnie znikają, gdy trzyma się poplamione kawałki obrusa, czy serwety nad oparem gorącej wody z sodą, albo zanurza się w gorącym occie. Plamy od wisien pierze się natychmiast w letniej wodzie z mydłem, a na noc zanurza się je w mleku.

Aby bieliźnie krochmalonej nadać połysk, wkłada się do rozrobionego krochmalu grudkę masła, wielkości laskowego orzecha. Na to leje się wrzątek i miesza starannie.

Ubranie przechowane w naftalinie wydaje zbyt silny i trwały zapach. Nie należy rozwieszać go w zimnie. Naftalina jest związkiem węglowodorowym, który rozkłada się w cieplej temperaturze. Przedmioty odnośnie należy więc rozwieszać raczej w pobliżu pieca, a jeśli dany artykuł odzieży zniesie wilgoć — w gorącej parze.

Pasy skórzane twardnieją skutkiem nieumiejętnego postępowania. Po użyciu trzeba je kłaść do słonej wody, a potem myć gruntownie w mydlinach. Przy ostatecznem spłókanu dolać do wody trochę gliceryny i suszyć skórę w zacienionem miejscu. Jeszcze wilgotne pasy układać w pudłach.

Jadłospis tygodniowy

NIEDZIELA.

Jaja po francusku z sałatką z jarzyn.
Zupa jarzynowa brukselska.
Rozbeł z przysmażanymi kartofelkami — sałata.
Galaretka owocowa.

PONIEDZIAŁEK.

Kartoflanka na baraninie.
Szaszłyki baranie z ryżem.
Sałatka z rydzów kiszonych.
Ptysie z sokiem wiśniowym.

WTOREK.

Zupa pomidorowa czysta z grzaneczkami.
Wątróbka cielęca po nelsońsku.
Sałata z kapusty kiszonej.
Mus z jabłek na zimno.

ŚRODA.

Czarnina z łazankami i owocami suszonymi.
Potrawa z kaczki z kaszą perlową i grzybami.
Kompot, albo borówki z kruchemi ciasteczkami.

CZWARTEK.

Rosół cielęcy z lanymi kluseczkami.
Zraziki cielęce w rumianym sosie kapustowym.
Kaszka krakowska na sypko.
Sałata.
Grzanki z marmeladą.

PIĄTEK.

Zupa grzybowa z kaszką krakowską w kostkę.
Dorsz z jarzynkami w sosie pomidorowym.
Klusieczki krajane.
Buchta drożdżowa.

SOBOTA.

Zupa ogórkowa ze śmietaną — kartofle tłuczone.
Schab z suszonymi śliwkami — klusieczki kładzione, albo klusieczki z surowych kartofli.
Kisiel żórawinowy ze słodką śmietanką.

Układać tyle plasterków słoniny ile mamy kawałków mięsa baraniego. Brać mięso na grube wykałaczki, albo specjalne rożenki do szaszłyków, dając mianego kawałek słoniny i kawałek mięsa. Zrumienić na rozgrzanym maśle ze wszystkich stron. Szaszłyki powinny być rumiane powierzchu, a wewnątrz krwawe. Wydając na stół uformować z ryżu zręczny stos i przybrać go szaszłykami na rożenkach.

Potrawa z kaczki z grzybami. Mięsiłą, młodą, niezbyt tłustą kaczkę ugotować, dodając sporo włoszczyzny. Na rosolu zrobić czarninę, zostawiając go trochę na podstawę do sosu. Ugotować w rosolu kilkanaście prawdziwych, białych grzybków suszonych, wyjąć z rosolu, pokrajać na wąskie paseczki.

Zasmażyć łyżkę masła z łyżką mąki, rozprowadzić smakiem grzybowym, zagotować mieszając. Włożyć do sosu grzybki, na wydaniu zaprawić gęstą, młodą kwaśną śmietaną. Kaczkę podzielić, ułożyć na półmisku, zalać sosem grzybowym. Oddzielnie podać kaszę perlową ze słoniną.

Schab z suszonymi śliwkami. Młody środkowy schab umyć czysto, wyluzować z kości, sparzyć wrzącą wodą, osączyć, włożyć na blachę, zrumienić szybko w gorącym piecu, poczem zmniejszyć nieco ogień, podlać kilka łyżek wody, albo rosolu i piec na wolniejszym ogniu. Na 20 minut przed wydaniem na stół włożyć do sosu, jaki się w czasie pieczenia wytworzy, dowolną ilość śliwek francuskich suszonych, które trzeba przedtem umyć czysto i sparzyć wrzącą wodą. Wydając na stół pokrajać mięso na plastry, otoczyć dokoła śliwkami, polać sosem.

Pączki parzone (ptysie). Proporcja: szklanka wody, ½ szklanki masła sklarowanego, szklanka mąki, pół łyżeczki proszku do pieczenia, szczypta soli, łyżka cukru, 6 jaj. Smalec do smażenia, cukier puder z wanilią do posypywania.

Zagotować wodę z masłem i szczyptą soli, wsypać we wrzącą wodę osianą mąkę pszeną, mieszając na ogniu tak, aby się nie wytworzyły grudki, a masa była gęsta, gładka i odstająca od rondla. Zdjąć z ognia, wystudzić. Dodać proszek do pieczenia wymieszany z cukrem i osiany przez sitko i jajka, wbijając po jednym i wyrabiając ciasto tak długo, aż całkowicie od łyżki od stanie.

Rozgrzać w głębokim rondlu sporo szmalcu — tyle, żeby pączki w nim swobodnie pływały. Kłaść małą łyżeczką na szmalcu niewielkie kawałeczki ciasta, przykryć rondel pokrywą, zdjąć ją po paru minutach i dosmażać na równym, niezbyt ostrym ogniu. Nie powinny się zbyt szybko rumienić, bo będą surowe w środku.

Po usmażeniu na równy, złoty kolor wyjmować łyżką druzłakową, osączyć z tłuszczu na bibule, układać na półmisku i trzymać w ciepłym piecu, aż do chwili wydania na stół.

Ptysie smażone pod pokrywą wyrastają lepiej, niż gdy je smażymy odkryte. Nie trzeba kłaść za dużo naraz do rondla, — muszą pływać swobodnie w szmalcu.

Przepisy kulinarne

Zupa brukselska. Ugotować smak na kościach wołowych i jarzynach. Oddzielnie ugotować ładne, zdrowe główki kapusty brukselskiej, licząc po kilka na osobę i trochę kartofli drażonych specjalną łyżeczką w formie kulek. Z ugotowanej brukselki zdjąć wierzchnie listki, pozostawiając tylko wewnętrzne małe główeczki. Listki przefasować przez sito. Zasmażyć łyżkę masła z połową drobno usiekanej cebuli cukrowej (nie rumienić), dodać łyżeczkę mąki pszennej rozprowadzić rosół.

Pokrajać w paseczki marchew z rosolu. Wlać do zupy zaprawę, włożyć marchewkę, kartofle, brukselkę. Wszystko razem zagotować, doprawić do smaku, dodać siekanej zieleninki i natychmiast podawać. Można wsypać na wydaniu, dla podniesienia smaku czubatą łyżkę tartego sera szwajcarskiego, albo parmezanu.

Jaja po francusku z sałatką z jarzyn. Ugotować duże, świeże jaja na twardo. Gotuje się (kładąc do zimnej wody) 15 minut od chwili zagotowania. Wystudzić w zimnej wodzie, od czego żółtka kruszeją. Obrąć ze skorupek, ścinać wierzchy, wyjąć ostrożnie żółtka, nie uszkadzając białek.

Wymoczyć śledzia pocztowego w słodkim mleku, tak długo, żeby nie był słony, oczyścić z ości. Usiekać pół śledzia drobno na masę.

Przygotować gęsty sos majonezowy, dodać siekanych korniszonów, albo rydzów

marynowanych i siekanej zieleninki. Rozetrzeć na misce żółtka na masę, dodać miąższ śledzia, kilka łyżek majonezu, doprawić do smaku, wymieszać.

Podciąć spody białek, tak żeby dały się ustawić na półmisku, napełnić przygotowanym farszem, przybrać powierzchu małymi rydzami marynowanymi, albo kaparami. Po między jajkami i dokoła nich dać sałatkę z jarzyn gotowanych i resztę śledzia drobno pokrajanego. Oddzielnie w sosjerce podać sos majonezowy.

Szaszłyki baranie z ryżem. Kawałek baraniny wyjętej z zadniej ćwiartki, wyżyłować, zdjąć tłuszcz, pokrajać w kawałki wielkości dużego orzecha włoskiego. Posolić, oprószyć białym pieprzem. Kości, żyłki, tłuszcz nastawić z jarzynami na smak. Pół kilograma ryżu wymyć czysto, osączyć. Zagotować w rondelku sporo wody, rzucić na nią ryż, gotować chwilę, wylać na druzłak i przelać zimną wodą.

Przecedzić rosół barani, wlać do rondla tyle rosolu, aby go było równo z ryżem. Dodać całą cebulę drobno posiekaną i udużoną w łyżce masła i 2 kostki buljonu. Zagotować. Wsypać ryż we wrzący rosół, raz zagotować, wymieszać, zrównać powierzchnię, przykryć, wstawić do pieca. Po upływie pół godziny wyjąć rondel z ryżem i wrazie potrzeby dolać jeszcze kilka łyżek rosolu, ale tylko wtedy jeżeli ziarna okażą się suche i sypkie, a jeszcze twarde. Nie mieszać tylko przykryć i wstawić powtórnie do pieca na pół godziny.

Na wydaniu dodać pół łyżki konserwy pomidorowej, wymieszać widelcem drewnianym.

TAPCZANY, OTOMANY
robotą solidną, poleca wytwórnia. Nowogrodzka 36. Ceny najniższe. Udzielamy kredytu.

Kisiel żórawinowy. Proporcja: 4 szklanki żórawin, 4 szklanki wody, 40 dk cukru, 2 czubate łyżki mąki kartoflanej. Słodka śmietanka.

Umyć czysto żórawiny, zmiażdżyć na misce łyżką drewnianą, włożyć do rondla, zalać wodą, zagotować. Gotowy sok przecedzić przez bardzo gęste sitko, odlać szklankę soku, wystudzić, a resztę zagotować z cukrem. Rozprowadzić mąkę kartoflaną, zimnym sokiem żórawinowym, lać w gotujący sok, mieszając bezustannie. Gdyby mąki okazało się z mało można dodać jeszcze trochę, rozprowadzając ją zimną wodą. Zaprawa na kisiel powinna być gęsta, odstająca od rondla.

Gotowy kisiel wyklada się do formy wypłókaną zimną wodą i wyprószonej cukrem. Powinien stać dłuższy czas w zimnie, aby stężał i nabrał niskiej temperatury. Do kisla żórawinowego podaje się słodką kremową śmietankę, albo sos waniljowy, który przyrządza się w sposób następujący:

Sos waniljowy. 6 żółtek, 6 łyżek cukru pudru, czubata łyżeczka mąki pszennej, pół laski wanilji, półtorej szklanki mleka. Zagotować mleko z wanilią pokrajaną w drobne kawałki, przykryć, pozostawić godzinę, żeby przeszło zapachem wanilji. Utrzeć żółtka z cukrem do białości, dodać mąkę pszenną, wymieszać. Mleko przecedzić, zagotować. Wlać kilka łyżek mleka w żółtka, wymieszać, dodać resztę mleka i podgrzewać na ogniu, stale mieszając, wystudzić.

Melba.

NAPRAWIAJMY

Możemy obrabiać dziurki w dwojaki sposób, zaczynając od prawej albo od lewej strony. Uważać należy, aby w palcach trzymać równo wszystkie kawałki przeciętych materiałów. Dziurka powinna być obdziergana równo i gęsto (rys. 18a). Iglę wkłada się o 4 — 5 nitek od przeciętego brzegu, przedzielając ścięgi najwyżej jedną nitką z materiałem. Dla wzmocnienia dziurek zakańczą się je poprzecznymi rygielkami, które robi się po obdzierganiu obydwóch stron. Wtedy na podstawie 3 — 4 przeciągniętych nitek, dziergamy je lekko, chwytając wierzchni materiał, następnie kryto przeciągamy igłę między podwójnymi częściami materiału i po przeciwległej stronie wyciągamy igłę, aby zrobić to samo i zakańczamy robotę. Na obrobienie dziurki powinno się użyć nitki tak długiej, aby wystarczyła na całą robotę.

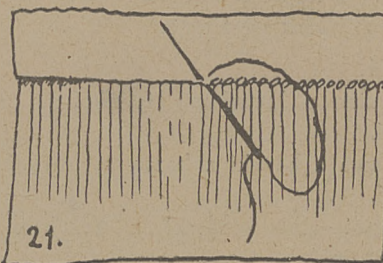
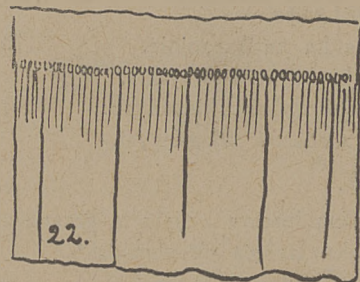
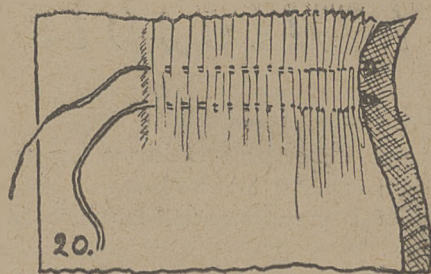
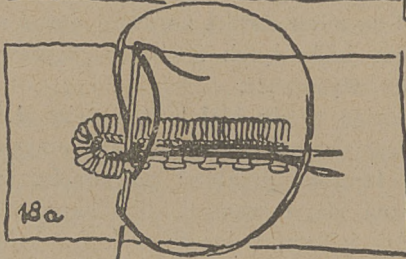
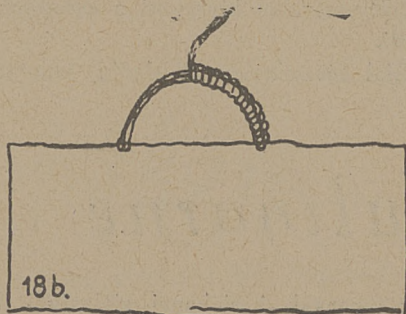
Zamiast dziurek używa się niekiedy pętelek (rys. 18b), które dzierga się gęsto i równo na podstawie kilku nitek, łukowato przymocowanych przy brzegu materiału. Długość lu-

ków stosuje się do wielkości guzików, które powinny łatwo przez nie przechodzić. Można także robić pętelki sznureczkowe, wtedy wkłada się jedną lub dwie nitki tak długie, aby dwa razy skręcone, uformowały odpowiednią do guziczka pętelkę, skręca się je na igłę, składa na pół, puszcza, przyszywa do miejsca, skąd nitka wyszła, i przymocowywa w odpowiedniej odległości, aby uformować pętelkę.

Do dziergania dziurek używa się nici numer 40, bawełny, atłasem zwanej (Numer 25 będzie najodpowiedniejszy). Pętelki, zwłaszcza sznureczkowe, robi się zawsze z nici.

Do bielizny używa się guzików z perłowej masy, płóciennych lub nicianych. Do cienkich materiałów przyszywa się guziki ściśle, do grubych — luźno, nie dociągając nitek tak, aby okręcone od spodu uformowały rodzaj łodyżki, na której mocno wisi guzik.

MARSZCZENIE — bardzo często używane przy szyciu bielizny i ubrań zasada się na nabieraniu przed igłą na nitkę, szeregu drobnych ściągów, zajmując zwierzchu dwie



do trzech nitek, a zostawiając pod spodem — cztery do sześciu. Mając wprawne i dobre oko, można nie liczyć nitek, ale nabierać większą ilość ściągów na igłę, nie wyciągając jej z roboty i posuwać ją coraz dalej po prostej linii. Doszedłszy do końca, ściąga się nitkę i zakręca na szpilkę w formie ósemki (rys. 19).

Jeżeli materiał jest gruby, trzeba marszczyć go na podwójną nitkę, — zmarszczki powinny być równo ułożone, w tym celu rozdrapuje się je za pomocą igły. (Rys. 20). Trzeba strzec się zbyt mocnego przyciskania igły, aby nie osłabiać materiału i nie zaznaczać fałdek dłużej niż na dwa i pół centymetra.

Zmarszczki podszywa się zewnątrz i wewnątrz; pierwszy sposób używany jest przy podszywaniu zmarszczonych spodnic, fartuchów szerokich, rękawów u koszul i bluzek, wszywania pasków przy dłoni itp. Zwierzchu — przyszywa się fałdki w cienkiej bieliźnie, wkładając igłę w każdą. (Rys. 21 i 22).

H. Z.



Nici „Specjalne”

w stu kilkudziesięciu kolorach, oraz

Wełna i bawełna

do cerowania. Żądajcie wszędzie.

Prenumerata: miesięcznie 1 zł. 75 gr., kwartalnie 5 zł.

TREŚĆ NUMERU: Nowy sens znanych słów — *Zofja Popławska*. Testament Stefana Żeromskiego — *J. W.* Okno na świat — *Obserwator*. Nie jestem feministką — *Stefania Jankowska*. Turoń Żeromskiego w teatrze Ateneum — *Zofja Miszewska*. Świat z wysoka — *Stefania Heymanowa*. Ze srebrnego ekranu — *es-ha*. Postęp to miotła czarnoksiężskiego ucznia. Małe niedole życia towarzyskiego — *Chorego nawiedzić* — *Jadwiga Kiewnarska*. Dbajmy o zdrowie i urodę — *Kosmetyka w biegu naszych dni* — *Magdalena Poznańska*. Odpowiedzi kosmetyczne. Przed sezonem zimowym — *H. Iwaszkiewiczówna*. Modny beret własnej roboty. Garnitur narciarski szydełkiem i na drutach. Służba domowa — *M. A. Z* rynków spożywczych — *Pani Elżbieta*. To samo inaczej — *Domowa czarna* — *X. Palmy w mieszkaniu*. Poradnia gospodarcza radzi. Jadłospis tygodniowy — *Przepisy* — *Melba*. Naprawiajmy — *H. Z.*

CENY OGŁOSZEN: za 1 wiersz szerokości 1 szpalty w reklamach 50 gr., w tekście 75 gr., specjalne zł. 1 gr. 20; drobne 20 gr. za słowo.

Zakłady Drukarskie W. Piekarniaka, Warszawa, Ordynacka 3, tel. 644-69.

- 34. KOSTJUM NARCIARSKI Z SZARO - ZIELONEGO SUKNA
- 35. KOSTJUM SPORTOWY —PÓŁDŁUGI. ŻAKIET FUTRZANY
- 36. GRANATOWE SPODNIE NARCIARSKIE I WIATRÓWKA Z SZAREGO PŁÓTNA
- 37. SUKNIA WEŁNIANA PRZYBRANA FUTREM
- 38. SUKNIA WEŁNIANA KARCZEK Z AKSAMITU DO CIENIU



37

38

34.

35.

36.

PIĘKNY MEBEL OKO PIĘŚCI. MIESZKANIU DODAJE TREŚCI I PODKREŚLA
WDZIĘK NIEWIESCI. MEBLE: NOWY ŚWIAT TRZYDZIESCI



SUKNIA Z CZARNEJ PRZERABIANEJ
WEŁNY — PASEK Z KIESZENIĄ Z SUK-
NA KOLOROWEGO — KOKARDA Z
TAFTY W PASY. MODEL FIRMY LU-
CILLE MANGUM

KOSTJUM DO NART Z GRANATO-
WEGO SUKNA. SPODNIE DO KOLAN
BERET CZARNY. — MODEL FIRMY LE
MONNIER.

